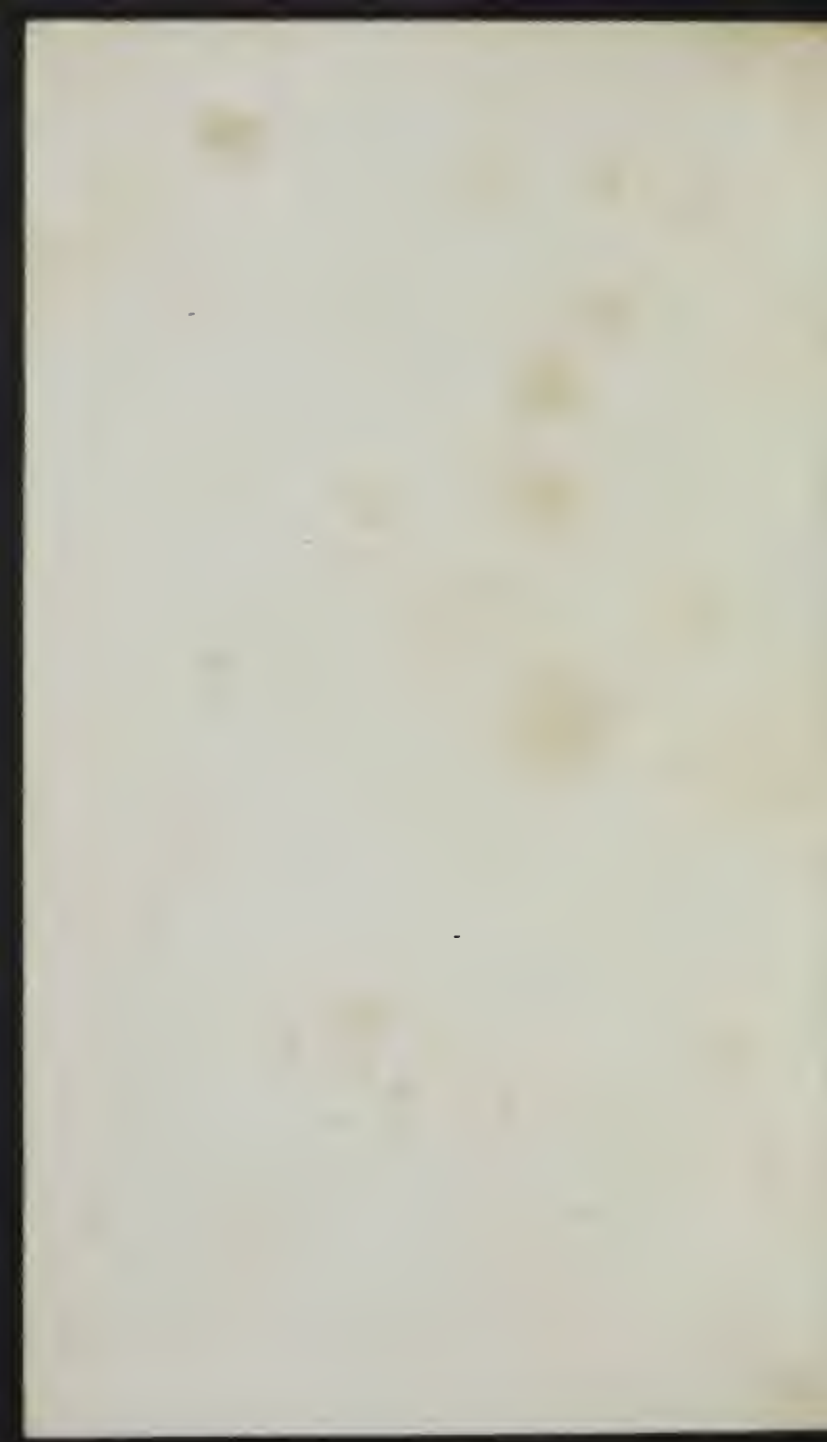


S Z K I C E

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru sprzedaje się osobno.)



**SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.**

(J. I. KRASZEWSKIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1841.

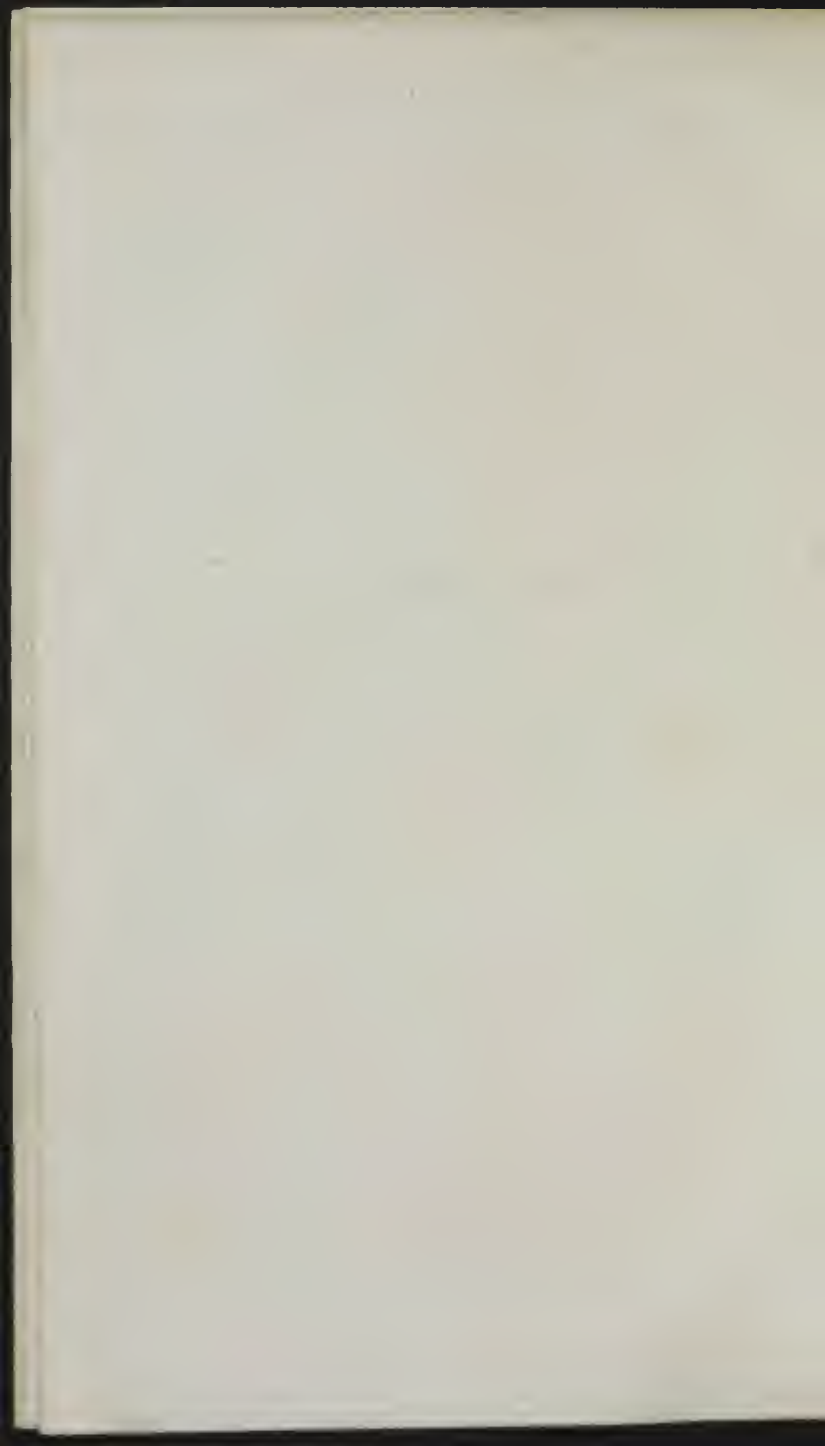
Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 29 Junij.

*Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radzca Kollegjalny i Kawaler*

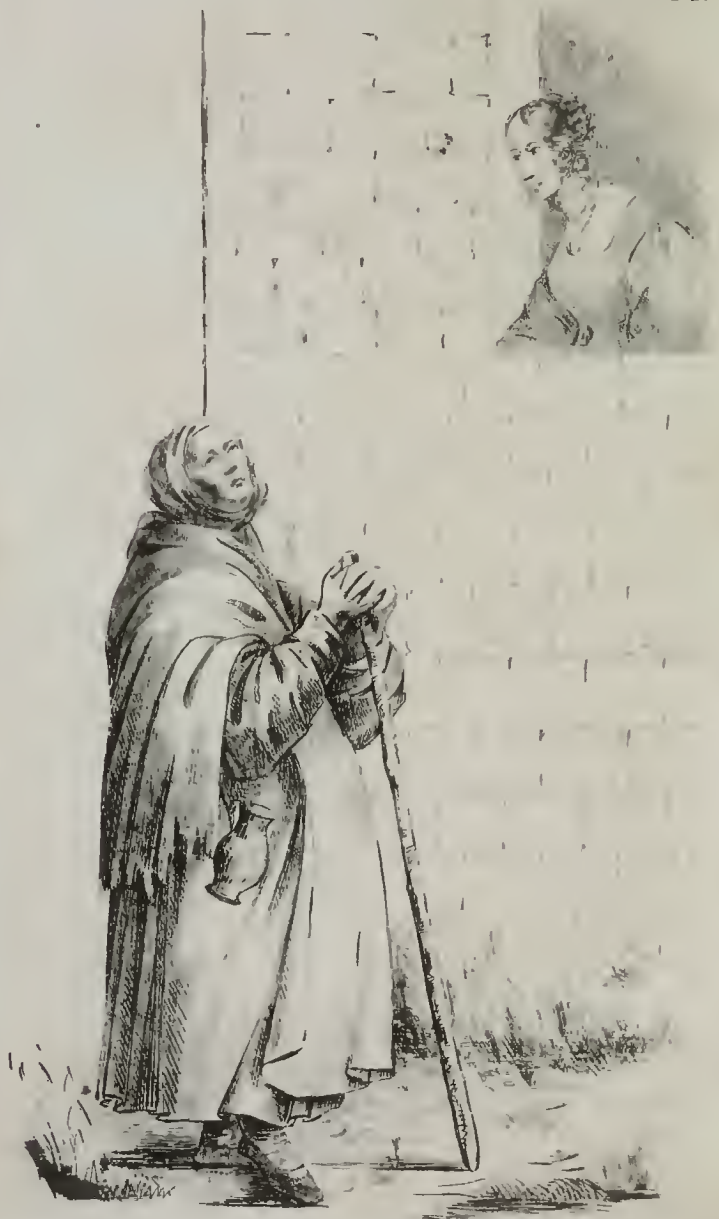
JAN WASZKIEWICZ.

OSTATNIA

Z XIAŻAT SLUCKICH.







**OSTATNIA
Z XIAŻĄT SŁUCKICH.
KRONIKA**

z czasów Zygmunta trzeciego

P R Z E Z

J. I. Kraszewskiego.

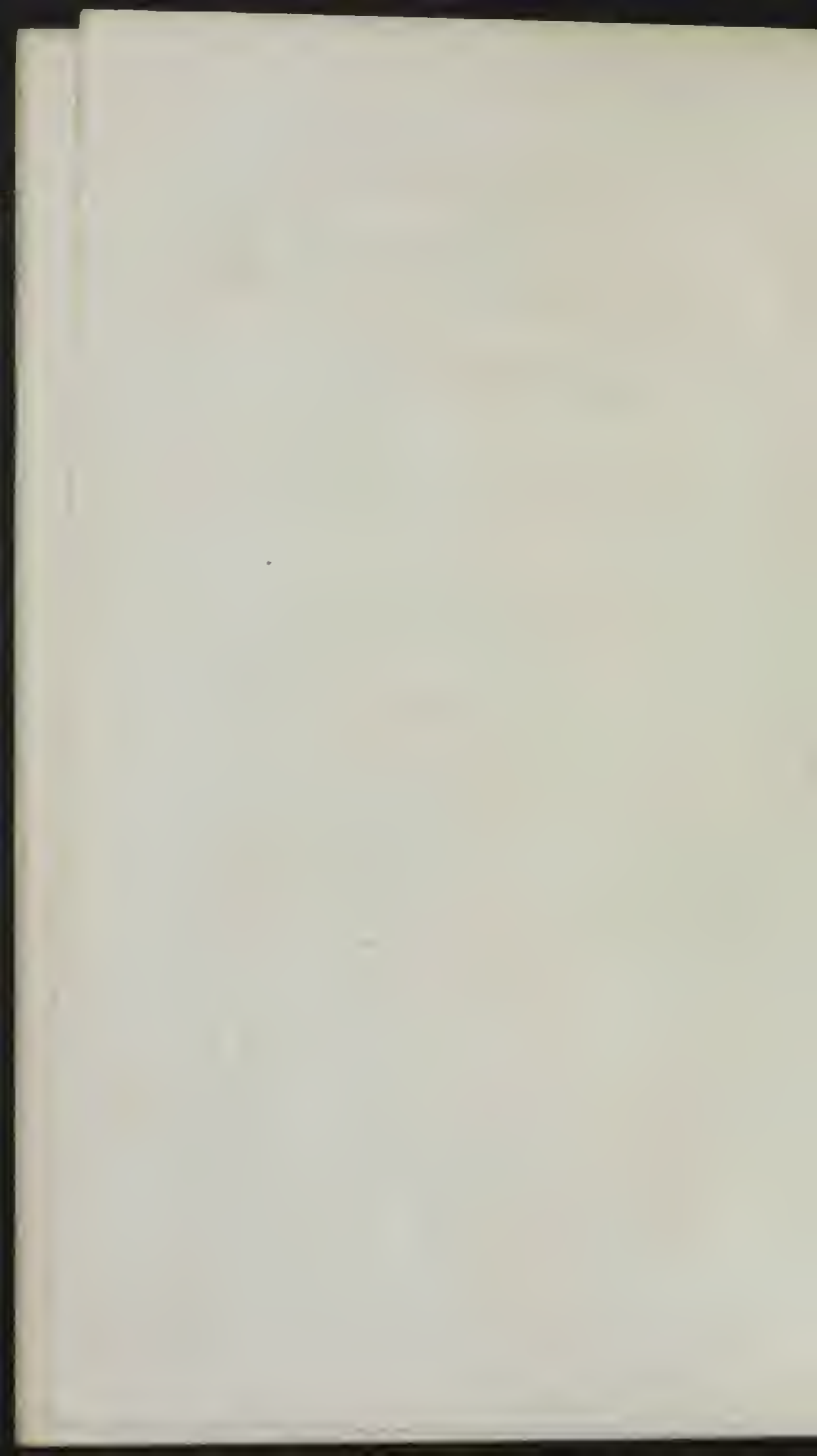
z trzema rycinami.



W I L N O.

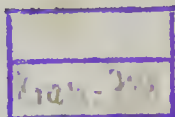
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 4 1.



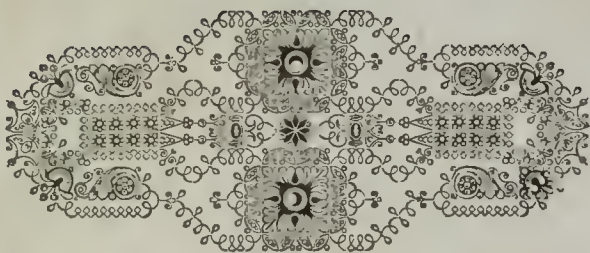
I.

Wieści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Rektora.



121-211 - 780





I.

Wieści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Rektora.



o tym wypadku, któryśmy opisali, nie było już ani nadziei, ani podobieństwa zgody — obie strony gotowały się wzięść do oręża: Radziwiłłowie do napści,

Chodkiewicze do obrony; a że, jakieśmy wy-
 żej rzekli, umowa druga naznaczyła dzień szó-
 sty Lutego 1600 roku za termin wydania Xię-
 żnój, i to w Wilnie, w kamienicy Chodkie-
 wiczów, to więc owa gorsząca walka rozpo-
 cząć się miała.

Lecz siły były bardzo nierówne, bo jak-
 kolwiek Chodkiewicze mieli swoje znaczenie
 w kraju i przyjaciół możnych i związki; da-
 leko ich więcej mieli Radziwiłłowie, a Woję-
 woda, stojąc na czele związku Protestantów i
 Greków, spokrewniony z Xiążętą Ostrogskie-
 mi, przez nich całą Ruś starowierną mający
 za sobą reformowanych zaś, jako bra-
 ci w wierze, popierał się niemi silnie. Partji
 tej Chodkiewiczowska żadną miarą sprostać
 nie mogła. Prócz tego dom Radziwiłłów,
 weześnie zrozumiawszy, jaką dla nich w kraju
 pomocą być mogła drobna szlachta, na dwor-
 y ją swoje zwolywał, protegował, forytował
 na urzędy, dawał dożywocia, jurgielty, swa-
 tał, żenił, i tym sposobem mnóstwo miał
 przyjaznych i obowiązanych, którzy nie tylko
 na Sejmikach czynili co chcieli protektoro-

wie, lecz i teraz gotowi byli na zawołanie sięść na konia z szablą w ręku, nie wchodząc w jakiejś sprawie i dla czego. Takięj szlachty, imieniowi Radziwiłłów zaprzedanęj, było bardzo wiele po całej Litwie; ona nie patrzyła słuszności sprawy, lecz ślepo posłuszna była rozkazom: najechać, pogromić, nie dopuścić do deputacji na Sejmikach; zakrzyczeć, pobiec, dla nich było rzeczą łatwą i pospolitą. Szlachta wcześniej zepsuta moralnie, czyli raczėj zobojętniona na moralne znaczenie czynności, nie zastanawiając się sama przez się nad tém, do czego użyta być miała, szła ślepo za Panami, którzy ją poili, karmili, a czasem w potrzebie głaskali. Jak Radziwiłłowie ujmowali szlachtę *czapką i papką*, to jest uściskiem braterskim i stołem zastawnym suto, w historii ich domu pozostały niezatarte ślady. X. Mikołaj Krzysztof, Sierotką zwany, powtarzał nieustannie, że się nie zowie Radziwiłł lecz *Rad-żywił*. Taka była polityka, rachuba i innych tego przemożnego domu członków. Dodajmy, że różnica wiary była w ich ręku bronią także, szli i tacy z Radzi-

Tom II.

willem, którzy nienawidzili Katolików, i cieszyli się walką z niemi. To też nie dziw, że gdy w tym razie ozwali się do szlachty przez listy i posłów Radziwiłłowie, słudzy ich domu (tak ich zwano) chwycili się za ich sprawę do broni bez zastanowienia. Rozpisał PanWojewoda wezwania na wszystkie strony, gruchnęła z niemi wieść o przyszłej domowej wojnie. Po Koronie i Litwie, nikt z tych, którzy mieli jakiegokolwiek związku z domemRadziwiłłów, nie odmówił pomocy swój; tak jakby wszyscy mieli na sercu wszczepić na Litwie wojnę domową.

Główni pomocnicy partji Protestanckiej byli naprzód Xiążęta Ostrogskie trzej: P. Kasztelan Krakowski, Wojewoda Kijewski i Wojewoda Wołyński. Oni, chowając tyle ludu na swych dworach, najmocniejsi magnaci na Rusi Litewskiej, obiecywali silny przystawić sukurs. Każdy z nich w sześćset koni a siedémset hajduków miał przybyć, co już wzięte razem czyniło trzy tysiące dziewięćset ludu. Jakkolwiek muićj znaczny, nietak zamożny P. Abramowicz Wojewoda Smoleński, który i jako Ewangelik trzymał się Radziwiłłów, i jako prote-

gowany od nich, z obowiązku szedł wszędzie za niemi; choć nie tak wiele obiecywał, chcąc jednak mieć jakikolwiek udział w tej sprawie, którą za sprawę wiary uważał, miał przystawić przynajmniej pięćdziesiąt koni ze swego dworu. Szwagier Wojewody Pan Mikołaj Naruszewicz Kasztellan Żmudzki, dawał sto koni i stu hajduków. Zamojski nawet nie wahał się obiecywać, że nadeśle ludzi z Podola. X. Kurlandski na wezwanie Wojewody odpisał, że mu część swój Rajtarji przystawi. Xiążę Jerzy Radziwiłł za kilkaset od siebie koni zaręczył, inni co kto mógł ofiarowali. Lew Sapieha, choć przyjazny i połączony blisko z Wojewodą, nie obiecywał jednakże ludzi— Było to, jakęśmy powiedzieli, w jego charakterze, że się kompromitować nie lubił, i jako Katolik, i jako Króla partyzant wielki, przeciw Chodkiewiczom wyraźnie nie chciał stawać, bo oni wyraźną łaskę Zygmunta III. mieli za sobą, i stali na czele Litewskiego Katolickiego stronnictwa.

Co się tyczy sił Chodkiewiczów, te ani się mogły mierzyć we względzie liczby z Radzi-

willowskiemi. Chociaż ich wspierała cała partja Katolicka, nikt im jednak, lub tak jak nikt, wyraźnój w ludziach pomocy nie obiecywał. Dla tego téż chcąc się postawić na stopie obrony przeciw Radziwillom, musieli po większój części wszystko kosztem swoim czynić, a kosztem wielkim: lud spisywać, najmować, opłacać, po kraju i za granicą zbierać. Przyszło do tego, że dla intryg Radziwillów, trzeba im było najwięcej po ościennych krajach szukać żołnierza, któren nie szedł, chyba nad miarę opłacony. Gdy do tego dodamy, że nie mieli wówczas bardzo rozległych i wielkich majątności, ani skarbów, pojmujemy jak ta potrzeba obrony stała ich w trudném położeniu, gdy majątki swoje musieli zadłużać i pozostawiać, aby pieniędzy dostać na opłatę ściągającego się wojska. Tym sposobem spodziewał się Jan Karol Starosta Żmudzki, będący na czele zbrojnych sił partji swojej, zebrać najmem do tysiąca sześciuset ludu jezdnych, a sześćset piechoty. Miał także za staraniem swym zapewnione działa do umocnienia swój kamienicy.

Prędko wieść o tych przygotowaniach, nikomu już nietajnych, doszła do Króla; cały kraj mówił o tém i wypadkiem przygotowań był zajęty; wszysej jednak na samo porównanie sił stron obu zapowiadali upadek Chodkiewiczom, a z niemi Katolikom, sądząc, że Wojewoda gdy raz zwycięży, i takie wojsko w ręku mieć będzie, nie omieszką z groźnej postawy korzystać dla zapewnienia sobie i swojemu stronnictwu przewagi znamienitej w Litwie. To Katolików trwożyło, ba i samego Króla, do którego coraz częściej dochodziły insynuacje aby się wdał swą powagą w tę sprawę. Lecz Król JMość nie wierząc spełna w to, co donoszono, zwlekał stanowcze wdanie się swoje; a może też i czuł, mimo swego niedaleko sięgającego wzroku, że Radziwiłłowie niewiele na jego pośrednictwo zważać będą.

Wojewoda odprawieniem ostatniego poselstwa zajętrzony bardziej jeszcze na PP. Chodkiewiczów, ani się już więcej o zgodę i umowę odezwał. Obie strony czekały szóstego Lutego z niecierpliwością i niespokojem.

A jakkolwiek Wojewoda silniejszy był i pewniejszy swego, niezupełnie jednak na wypadek ostateczny był obojętnym.

W takim stanie rzeczy przebiegły ostatnie miesiące 1599 roku, zaczął się w trwodze r. 1600 i zbliżał się Luty.

Tym czasem Król Zygmunt zniewolony bliżkiem już rozwiązaniem się sprawy i dochodzącem go o przygotowaniach wielkich słuchami, wybrał nareszcie czterech Senatorów od siebie, i dawszy im listy do obu stron powaśnionych, aby do oręża brać się nie śmiano i nie rozpoczynano wojny domowej, polecił im, aby czynili co tylko będzie w ich mocy dla odwrócenia zgubnego krwi przelewu. Panowie Senatorowie ruszyli do Wilna w Styczniu r. 1600, lecz nim przybyli tutaj i działać rozpoczęli, słyszna wrócić do opisanego dalszego toku rzeczy w samem Wilnie.

Miasto było w niespokojności, czując, że nań pierwsze klęski spaść miały z téj wojny, która zawiązać się obiecywała na jego Rynku, na ulicach! Niektórzy już mieszczenie myśleli się wynosić, przewidując wszystko, co na

nich sciągnie natłok kilku tysięcy niesfor nego
żóldactwa przeciwnych partij. Próżno odży-
wali się z nbolewaniem i niepokojem o stan
miasta, nikt na to nie zważał; zmuszeni zo-
stali w końcu przypomnieć się wyraźnie stro-
nom zabierającym do walki.

Duch miejskiej ludności sprzyjał więcćj
Katolickiej partji, niż protestanckiej, gdyż
większa część miasta Katolików była; Rusini
tylko w niewielkiej liczbie, skonfederowani w r.
1599, któremi Wojewoda się opiekował, za-
slaniając ich od Jezuitów, za nim i jego byli.
Na czele Magistratu stał wówczas Wójt Wi-
leński, nieprawnie przez Króla mianowany, gor-
liwy Katolik i najniższy sługa Jezuitów P.
Maciej Borzyminski Sekr. R. J. M. Inni za-
siadający z nim Ławnicy byli po połowie
Grecy, Katolicy w połowie, już jednak w ła-
wie Greckiej więcćj było Unitów, niż Staro-
wierców. Toż samo działo się między Bur-
mistrzami i Radzcami, gdzie też Katolicy prze-
ważali, i wpływ Jezuitów był bardzo wielki,
choć go częściowe spory z Magistratem nad-
wreżwały chwilowo. Wójt Borzymiński był

Sodaliscm Bractwa Bożego Ciała, i Miłosierdzia Jezusowego, i do tego tercjarzem zakonu—to go dostatecznie maluje.

Na początku 1600 roku, kiedy się całe miasto plotkami i wieściami o przyszłej rozległa wojnie, chłodnym rankiem Styczniowym Ratusz zaczął się napęlniać mieszczany. Jedni z nich szli sklepy swoje otwierać, drudzy śpisyli na Ratusz, inni sprawy sądzić w Ławie, inni do Skarben, wagi, postrzygalni i t. p. PP. Burmistrzowie, Rajcy, Ławnicy, Pisarz, wszystko to stało zgromadzone u wielkich drzwi Ratusza, gdy dziewiąta biła na półzgarzu wieczowym. Rozmowa toczyła się właśnie o owych rozruchach, a niektórzy widzieli je ze strony najniebezpieczniejszej dla miasta—mianowicie bogatsi i lękający się o całość swych dóbr, ci, którzy lubią spokojność, obawiali się zapisywania gospód po domach dla przybyłych téj i tamtéj strony posilających. Jedni drugim rozpowiadali co słyszeli.

—Ja, Panie Bazyli, rzekł jeden gruby i czerwony, słyszałem zapewno od dworzanina P. Starosty, który to miał od Pólkownika,

który Półkownik słyszał z ust JMP. Starosty samego, iż niechybnie w ulicach strzelać będą, a nie w polu; jak WM. mówicie się spotkają.

— Inaczéj, rzekł drugi — nacózby kamienicę fortyfikowali?

— Wszyscy wiedzą, że tam jest już osiemdziesiąt dział (!) pozaciąganych po łąkach; kaci wiedzą wiele ich jeszcze naprowadzą. Mówią że nawet w oknach od ulicy, w paradnych komnatach działa stoją.

— Co się tycze Wojewody, rzekł inny, to wiemy, że jak tu wojska nawiedzie, niechybnie Katolików heretycy w pień wytną, Kościoły porabują, Xięży wyduszą — Co o kramach i sklepach, to już i nie gadać. A zatem trzeba wczesnie myśleć o sobie — Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Zapewne! zapewne! wszystko to być może; ależ Król Jego Mość, odpowiedział pierwszy — czyż podobna, aby pozwolił?

— Otoć Król Jego Mość nie włoży palca między drzwi, rzekł inny mieszczanin; choćby i chciał dopomódz Chodkiewiczom, nie może.

Chyba zabroni brać się do oręża, bo inaczéj sukursować nie potrafi.

— Alboż go Wojewoda usłucha — prawili trzeci; on się śmieje z rozkazu, kiedy tyło wojska ma na zawołanie z Rusi i z Kurlandji, i Bóg wież kąd. Powiadają, że Tatar i Turków pogan na zagładę imienia Katolickiego wezwał.

— No, azatém, odpowiedział inny znowu, kto ma rozum, niechaj się jak od powietrza wynosi z Wilna przed terminem, i niech im tylko mury odarłszy z nich nawet obicie zostawi. Przynajmniéj ja tak uczynię.

— Ja, co trzymam gospodę, rzekł małuski garbusek, teraz tego nie uczynię — dopiero mi będzie żniwo.

— Wypiją ci i wyjedzą co będziesz miał i figę pokażą potém, rzekł P. Bazyli, będziesz się miał z pyszna.

— A! nie taki djabeł czarny jak go malują, odpowiedział piérwszy; czemuż się ani Xięża Jezuici, ani Kapituła nie wynosi, ani nikt. Gdybyć było niebezpieczno, poszliby wszyscy precz.

— Macie słuszość, rzekł trzeci z boku, jak oni się rugować zaczną, to i my za niemi dopiéro. Miejmy się w gotowości, ale nie ruszajmy; bo jeśli, jak to być bardzo może, do wojny nie przyjdzie, to ten napływ ludu i gości da nam przynajmniej w sklepach utargować, a i to dobre będzie. Nagrodzi za gospody.

— Wiécie, rzekł inny znowu, że ten, Boże odpuść, pogański Wojewoda, jest pono przyczyną także, że my od lat tylu i Biskupa nie mamy. On to się tak JM. Xiędzu Maciejowskiemu stawia i bechta na niego wszystkich, że go do Biskupstwa nie dopuszczają, dla tego, że jest Królewskiej strony, i że po Radziewille na Biskupstwo siada.

— Może to i prawda, rzekł P. Bazyli; to pewne, że JMXiędza Łuckiego nie dopuszczają do Biskupstwa, bo nie Litwin, a jest jakieś tam prawo, co mówi, że nikt nie siądzie na stolicy Biskupstwa Wileńskiego, chyba Litwin. Otoż czemu go nie dopuszczają.

— Ale nie, rzekł inny; mnie mówił braci-szek krawiec, Coadjutor S. Jezu, że dla tego,

iż przywilėj na instalację dany JMX. Łuckiemu pod pieczęcią i z Kancellarji Koronnėj.

— A choćby też, to pewna, że to nie wadzi, kiedy nieboszczyk Król Stefan pieczętował przywileje kapturkiem od szabli, i były dobre, i walor miały, jak kazał.

— To też to że i Król niemy i głuchy tylko pacierze klepie, a wszyscy brózdą jak chcą. Ale dajmy pokój tym sprawom, a myślny o sobie, bo czas. Trzeba by nam coś postanowić na przypadek tój wojny.

W tój chwili nadszedł Wójt P. Maciej Borzymiński. Wszyscy mu się pokłonili, i P. Bazyli Janowicz spytał —

— Prawdaż to, że się nam już wojny niechybnėj spodziewać trzeba między Chodkiewiczami a Wojewodą?

— Bóg to Święty raczy wiedzieć, odpowiedział suchy, chudy i wysoki mężczyzna, którego powitano jako Wójta—ale *probabiliter*, być to może.

— A toż czas, kiedy tak, rzekł P. Dwornik inny mieszczanin, żebyśmy pomyśleli o sobie.

— Zapewne, odpowiedział Wójt — myślcie WMość co poczniecie.

— A WMość co zrobisz? spytał niejaki Bil-
dziukiewicz.

— Ja, odpowiedział Wójt, będę siedział, z mego urzędu nie mogę się ruszyć!

— I ja, rzekł jeden z Ławników, toż uczynię, ale kram zamknę, i towary do folwarku miejskiego wywiozę.

— Toćby to i nam trzeba, rzekł Dubowicz inny mieszczanin, a nie lepić żeby to, żeby z Magistratu Wileńskiego wyprawić deputację do JMP. Kasztellana i do Pana Wojewody, z prośbą aby nie chcieli na szwank wystawiać miasta Królewskiej JMości?

— Ej dajcie pokój temu, zawołał P. Dur-
nik, żeby nasze śmieszkami wyprawiono. Wła-
śnie oni co na nas zważać będą, kiedy się tam
wmięszawszy nie jeden Senator wziął nosa.

— To prawda, rzekł Wójt, ale i my coś
znaczymy, będąc *brachium regium* w tém mie-
ście. I nasze przełożenia nie mogą być źle
przyjęte, bo nam więcej niż komu o całość i
securitas miasta chodzić musi. Dobra zatém

rada P. Dubowicza *ratione* deputacji i ja ją pochwalam.

— I ja, rzekł Bazyli Bildziukiewicz, a oto się tylko naradzimy i wyprawmy posły z instrukcją.

— Na co te ceregiele, zagadnął Dubowicz, prosto niech Magistrat cały pójdzie, to więcej zrobi *aprehensji*.

— Zapewne, rzekł Wójt, tylko za nim to poczniemy, trzebaby się kogoś poradzić świadomego dobrze rzeczy i obrotów wszystkich—

— Jakby to kogo naprzykład? spytał Dubowicz.

— A juściż mnie się zdaje, rzekł Wójt, że nikogo jak JMX. Rektora Akademickiego Collegium.

— Macie WMość racją, potwierdził P. Durnik, idźcie WMość do niego, a popytajcie go, co on tam też powie na to.

— Choćby i *stante pede*, toby nie zaszkodziło — dodał Dubowicz, boć to dziś sprawniema tak dalece i ani się ich spodziwać, Możesz się WMość udać do Collegium, będą

też tu PP. Ławnicy i Burmistrze i Sławetny P. Pisarz.

— Dobrze, dobrze — Itak miałem intencję iść do Collegium po Sądach, rzekł Wójt, a no kiedy W Mość chcecie, pójdę i zaraz.

To mówiąc i skinąwszy głową, udał się P. Wójt zamysłony, wprost ulicą do Collegium Ś. Jana.

Collegium to, było już naówczas wielkiu gmachem, zrosłym z wielu domostw już kupionych przez Xiędza Biskupa Walerjana Protasowicza i fundowanych początkowo jeszcze, już z dawniej Plebanji Ś. Jańskiej przyłączonych (w której sławny ów Rojzius Mauraeus, ostatni Archiprezbiter pisał swoje *Decyzje*); już z przykupionych lub zapisanych domów i kamienic. Na przedzie zastawał Kościół Ś. Jana odnowiony przed kilkudziesiąt dopiero laty, ozdobiony powierzchownie z wysoką wieżą, z gankami. U wrót Collegium cisnęła się ulodzież Akademicka, na głos dzwonka u bramy wiszącego, w różnych strojach, z kałamarzami u pasa, xiegami pod pachą, w opiętej oplamionej i odartej po większej

części odzieży. Kilku laików i Xięży S. J. w czarnych sukniach z ogonami snuło się przez dziedziniec tam i ówdzie z kluczami lub xięgami pod pachą. Witał ich P. Borzymiński po znajomości i przeszedłszy piérwszy dziedziniec, puścił się w korytarze, po których większa jeszcze ilość zakonników i młodzięży biegła — do celi Rektorskiéj.

W drzwiach Refektarza spotkała go ciżba, którój dzwonek śniadanie zapowiedział, a z otwartych drzwi słysząc już było głos lektora, poczynającego czytanie Reguł Zakonu, jak zwykle przy jedzeniu — słysząc było biczowanie głośnie kilku przestępnych braci, którzy z reguł tychże, publiczną pokutę w Refektarzu odprawiali.

Minąwszy ścisk ten, szedł Wójt do celi X. Rektora, która była najprzedniejsza po Prowincjalskiéj, bo w niéj Xiądz Rektor przyjmował zwykle dostojnych gości unikających solennego przyjęcia z umywaniem nóg w Refektarzu. Nad drzwiami celi był obraz Śgo Xawerego Patrona czy osobistego nie wiem X. Rektora i celi. Zapukał Wójt i wszedł

zaraz, bo laik Jezuita mu otworzył. X. Rektor stał w progu piérwszój izby i kończył swą mowę do braciszka temi słowy.

— Niechaj go zasadzą na trzy dni, na chléb i na wodę wedle ustawy, a o reszcie późniéj pomyslé.

Braciszek oddalił się kłaniając ze złożonymi na piersiach rękoma, a Wójt powitał Rektora. Cella w którój byli, piérwsza, szczupła, niczém nie ozdobiona, prócz portretu Xiędza Warszawickiego. Kropielnica wisiała u drzwi, krzyż drewniany, ławki proste, szafki w murach. Porządniéj już było w drugiém sklepieniu jak i piérwsza, komnacie do którój X. Rektor wprowadził Wójta. Była ona obszérniejsza od piérwszój, o dwóch oknach. Nieobite mury niczém, zasłaniały obrazy ŚŚ. Ignacego i Zakonników S. Jesu dziewięciu, piérwszych jego towarzyszy i także niektórych poprzedników X. Rektora w Wilnie na Rektorstwie Collegium.

Była tu czarna szafa z xięgami, łóżko proste i twarde, dyscyplina nad nim i krzyż, palma i gromnica w głowach. Zresztą nic do

ozdoby służącego, nie co by oko zatrzymywało.

— Wazna tu mnie sprawa do Was sprowadza, Miłościwy Xieże Rektorze, rzekł Wójt po przywitaniu — Miasto jest w niepokoju gwałtownym, radbym się z Wmością poradzić co czynić.

— Cóż to jest za niespokój? spytał Garsias Alabianus, wznosząc łysą głowę i otwierając na Wójta czarne żywe oczy.

— A to z téj nieszczęśliwój wojny, do którój się sposobią PP. Chodkiewicze z Radziwiłłami, rzekł Wójt — Całe miasto jest w niepokoju i niepewności nie wiedząc co czynić i jak. Czyli już uciekać i wynosić się, czy siedzieć spokojnie zdawszy się na łaskę Bożą.

— Cóż ja w tém poradzić mogę? rzekł Rektor udając głęboką obojętność. Postępujcie sobie jak wam rozum dyktuje.

— Ale tu nie dość naszego rozumu — powiedział Wójt, radziłyśmy wiedzieć na czém się oprzeć. Jestli się czego lękać czy nie?

— Ja tego od was nie wiem lepiej — odpowiedział Rektor — To pewna, że się zanosi

na wojnę, ale Król JMość wysłał już z Inhibicją PP. Senatorów do Wojewody i Kasztellana.

— Z inhibicją! zawołał Wójt, ale czy oni jęj usłuchają.

— Tego ja nie wiem, ostróźnie rzekł Rektor, nie chcący się wydać, jak doskonale o wszystkiém co się działo w mieście, był uwiadomiony.

— A nie byłoby dobrze, spytał Wójt znowu, gdyby Magistrat szedł z przedstawieniem od miasta do P. Kasztellana i do P. Wojewody, aby nie chcieli męsząc pokoju i nadweręzać *securitatem Metropolis*.

— Nie byłoby nic od rzeczy, rzekł Rektor, ale ja WMościom ani radzę, ani odradzam.

To umiarkowanie X. Rektora w jego rozmowie z P. Wójtem, przypisać było potrzeba znanęj P. Borzymińskiego gadatliwości, dla której słowa bał się wyrzćc Rektor, aby przez jego usta całe się miasto o udziale jakiego w tém miał, nie dowiedziało. Chodziło mu zaś bardzo o to aby choć pozornie *neutralitatem* w téj sprawie utrzymać; gdy i tak Pro-

testanci, wszystko zawsze kładli na Jezuitów; co się przez nich lub i bez nich stało.

— Ale nie będzie to źle? spytał Wójt, gdy to uczynim. Zdaję się w tém na światło i rozsądek WMości, Xięże Rektorze, poradzić.

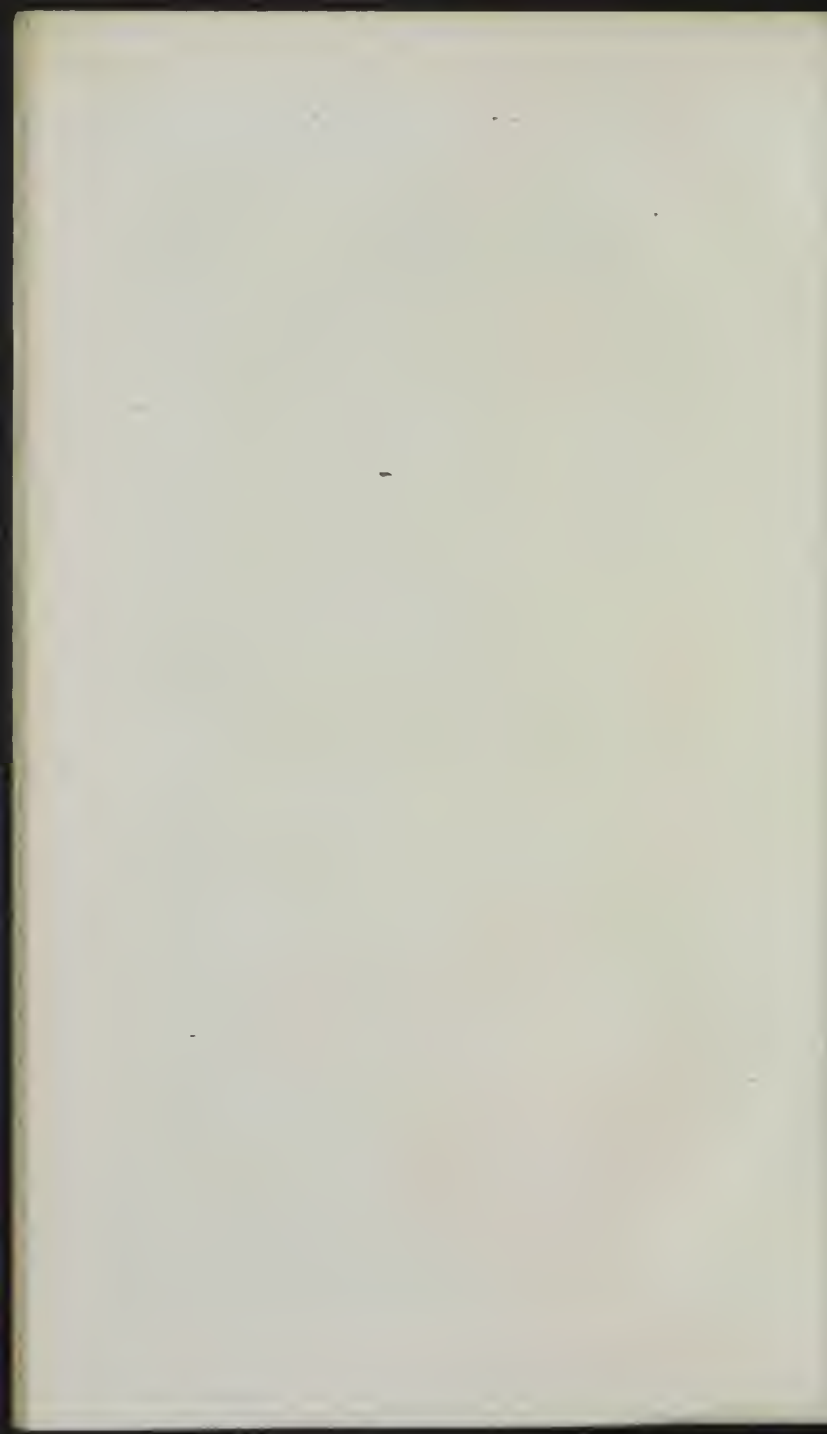
— Źle byćby nie powinno, rzekł Rektor, nie zaręczam znowu czy i dobrego co z tego wyniknie. Zresztą czyńcie coście uradzili między sobą, a ja mszę na waszą intencją odśpiewać każę. Nie zapominajcie tylko o dostarczeniu potrzebnych rekwizytów do kaplicy Bożego Ciała.

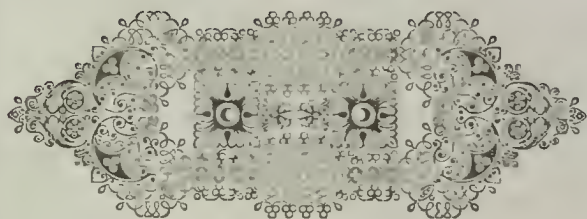
Po tych słowach powstał Rektor widocznie niespokojny, a P. Wójt rad nie rad musiał go pożegnać. Mijając wrota Collegium, ujrzał na nich karty, na które rzucił okiem. Były to zapowiedzenia nabożeństwa solennego, w dzień jakiegoś patrona, Dysputy z powodu doktoryzacji i ekluzyi trzech Akademików za popełnione excessa.



II.

Deputacja Magistratu.





II.

Deputacja Magistratu.



NAZAJUTRZ jeszcze nie wybiła dwunasta na pół zegarzu Ratuszowém, a już ze drzwi jego, wychodziła Deputacja Magistratu, na którój czcile stapał poważnie JMP.

Wójt Maciej Borzymiński, za nim dążyli dwaj Ławnicy, dwóch Rajeów, dwóch Burmistrzów i Pisarz miejski. Wszysey ubrani byli od parady jakby iść mieli za processją, lub przynajmniej na przegląd Musztry Cechowej, w nowych sukniach jasnych kolorów, świeżem obuwiu z kurdybanu; a na mocy przywileju ś. p. Najjaśniejszego Zygmunta Augusta (tak go zwano wówczas) przywileju który Magistrat uszlachcił, wszysey urzędnicy oznakę świeżego szlachectwa, szablę przypasali bręczącą po kamieniach.

Nizko się im kłaniali po drodze, lud miejski, PP. mieszczanie nawet i kupcy, widząc ich tak strojnie i poważnie idących; ustępowano im z drogi, bo wszysey czuli, że szli niedarmo, nie na łóżną przechadzkę tylko, ale brzemienni wielką jakąś sprawą miasta całego tyczącą. Tak w milczeniu honorowani przeszli oni główną ulicę i ażeby na nich zbyt oczów nie zwracano, zapuściwszy się w zaułek na Rybnym końcu, postanowili *unanimitate* przedmieściami udać się naprzód do pałacu Kasztellana Wilńskiego.

Tu, gdy stanęli, oznajmiono o nich wprzód Kasztellanowi, a po chwili wpuszczono do sali, przeciw którym i sam Kasztellan wyszedł. Po niskich ukłonach i powitaniu, odchrząknawszy P. Wójt, począł oracją w te słowa.

— Jaśnie Wielmożny Kasztellanie Wileński! Panie nasz a Dobroczyńco! Niemaly od niejakiiego czasu przestrach i apprehensia opanowały mieszkańców miasta JRM. Wileńskiego, z powodu niejakiich wieści i głosów, które poszły, jakoby spokojność tego miasta i *securitas* jego, zagrożoną być miała. Żli to ludzie zapewne, takowemi baśniami umysły spokojnych mieszkańców tego miasta stołecznego poruszają, a jednak mają, ku temu niejakiie pozory. Albowiem J. W. Panie, widziemy niemal codzień zbierający się lud, fortyfikacje czyniące się wpośrodku i sercu miasta i jakieś przygotowania, które zdają się w istocie naruszenie blizkie pokoju zwiastować. Przeto obmyśliliśmy my Wójt i Rada miasta J. R. M. Wileńskiego, udać się tu, *ad Illustrissimum* i pokornie go upraszać, aby jeśli istotnie do

jakowejś (czego Boże ucho waj) wojny przychodzić miało, Wileńskie przynajmniej miasto świadkiem jej nie było. Mamy przywileje, które wojsk stawić w mieście samém zakazują, a co dzień gęściejszym pocztom zapisują gospody w samém mieście, *in visceris* téj to Metropoli, co więcéj w Juryzdyce Ratuszowej, czego dotąd nie bywało nigdy. A jeśli (czego Boże ucho waj) do wojny i boju przyjséby miało, ostatnia to ruina dla miasta Wileńskiego, handlów i pomyślności. Albowiem kupcy cudzoziemcy i goście, już się na słuch o tém wynosić poczynają, sklepy zamykają, dom gościnny pustoszeje, place od niego giną, wszyscy w przestachu jakimś i oczekiwaniu. Przeto najpokorniej *Illustrissimum* błagamy tu wszyscy w imieniu miasta całego Magistratu *Communitatis* kupieckiej i pospolitego człowieka miasta Wileńskiego, aby, jeśli to być może, żadne tu wojny rozpoczynane nie były, któreby miasto do ruiny handlu i spokojności przywiodły, mieszkańców rozproszyły i zubożyły.

Jeszcze miał mówić dalej P. Borzymiński,

ale mu przerwał Kasztellan trochę zniecierpliwiony.

— Mój Panie Wojcie, rzekł, źleście się bardzo do mnie udali ztém poselstwem. Ja tu żadnej wojny nie pocznę, ani jój pragnę, ani ją gotuję. Idźcie do Pana Wojewody Wileńskiego i proście go, ażeby się upamiętał, a na miasto, ieśli nie na co innego, już miał wzgląd. On to chyba, nie ja o wojnie myślę. Ja się tylko bronić będę, rzekł, jeśli mnie kto zaczepi, a bronić się każdy i wszędzie ma prawo, jak ci się zdaje, Panie Wójcie!

— Jest to prawo kardynalne, odpowiedział Wójt pokornie, lecz —

— Lecz co? spytał Kasztellan.

— Lecz wojsko się zbiera, rzekł Wójt, i w okolicach i w mieście coraz go więcej, coraz gościć, a mówią, że jeszcze znaczna ilość ma przybyć!

— Idźcie do Wojewody, przerwał Kasztellan, idźcie — Nie moja to rzecz, pewnie ja piérwszy nie wystrzelę. Jeśli się zaś pytać będzie czyliście u mnie byli, możecie powiedzieć, com wam rzekł, że ja wojny nie roz-

poczynam żadnej, zaczęm żegnam Waszmościów.

Deputacja nisko się pokłoniwszy, tym samym krokiem poszła w milczeniu do Pana Wojewody, znać tylko było z miny PP. Magistratowych, że to drugie poselstwo, ciążyło im bardziej na sercu, niż pierwsze: szli bowiem do Wojewody, którego się lękali jako heretyka, odmalowanego im przez współbraci, za monstrum popędliwości; i chociaż byli pewni, że poważnej Deputacji osób Magistratowych znieważyć nie zechce, coś ich jednak niespokojnemi czyniło. P. Wójt obracał niespokojne oczy na Pisarza, Pisarz na Ławników, Ławnicy na Burmistrzów. Im byli bliżsi pałacu, tém szli powolniej — Nareszcie Wójt rzekł.

— Wnieście wy głos P. Burmistrzu.

— Kto? ja? rzekł cofając się zagadniony, ja? A tożby był niemały despekt dla WMości, który jesteś głową miasta i téj Deputacji! Ja tego nigdy nie uczynię.

— Ani ja.

— Ani ja— ozwali się inni zeicha— Do Pana Wójta oracja należy.

A Wójt, któremu język w gębie przysychał do podniebienia, sam już nie wiedział jak sobie poradzić. Gdy u wrót stanęli, weszli w korytarze, już ich oznajmywano, nie czas się było cofać.

Odzwierny zawołał.

— Deputacja Magistratu!

Wojewoda siedział w swojej komnacie z P. Abramowiczem, a posłyszawszy oznajmienie, rzekł:

— Wpuścić ich. Pewnie ze skargą wieczną na Podwojewodzkiego, albo o targowe jakieś tam, przekupniów i partaczy durzyć mi głowę przychodzą.

Ledwie tych słów dokończył, wsunął się z głębszym niż do Kasztellana ukłonem schylony P. Wójt, a za nim na palcach reszta Panów deputowanych. Wojewoda nie powstał, ujrzawszy ich zmierzył okiem i odwrócił się tylko czekając co powiedzą.

Takie przyjęcie nie było wcale zachęcające; to też Wójt całkiem ze strachu przyto-

mność postradał, i zwijając czapkę kłaniał się, nie mogąc słowa znaleźć w gębie i w głowie, od którego by począł. Narescie, gdy już to milczenie zbyt długo się przeciągnęło począł prawić temiż słowy, jakimi do Rasztelana przemawiał, wprzód cicho i niewyraźnie a drżąc, kondolencje swoje.

Wojewoda się w pierwszej połowie mowy porwał.

— Cóż to, zawołał, WWMość myślicie dawać mi nauki i przestrogi? Mnie? A co to do was należy, co ja czynię, albo Senatorowie i Rycerstwo między sobą? Siedziecie w kramach swoich, ważeie na Ratuszu, wybierajcie powrótne, podymne i srebro-szczynę, ale wara z nosem, tam gdzie was nie proszą! Słyszycie Waszmość!

Wójt zamilkł i pobił jak ściana.

— Jednakże J. Oświecone Xiążę a Panie rzekł jękając się — *securitas* miasta J. K. Mości, powierzonego.

— Piłnujcież jój od hultajów i złodziei Wójcie, a nie turbujcie się o nasze sprawy, krzyknął Wojewoda. Słyszał kto takie zuchwał-

stwo. Warto, żebym was wszystkich do Turmy Zamkowej posłał na tydzień za to, dodał coraz bardziej zajmując się gniewem.

— Nie było w intencji Magistratu J. R. M miasta Wileńskiego, obrazić JO. Xięcia Pana, albowiem *zelus* o dobro powierzonych nam.—

— Ale mówię wam, zahuczał Wojewoda, skierujcie indziej *zelus*, a będziecie mieli co czynić i na co go użyć — Nie miészajcie się w to, co do was nie należy, wybierajcie podatki, sądzcie swoich mieszczan i gości, pilnujcie porządku i siedźcie spokojni.

Wójt miał się do drzwi przełknięiony wspomnieniem turmy i coraz popędliwszą mową Wojewody. Gdy Xiążę ostatnich słów domawiał, drzwi się otwarły i Deputacja milezkiem wysuwała się nazad, a jeszcze Wojewoda burczał w komnacie swój — Z zwieszonemi w dół nosami i posępną miną, sławetny Wójt i PP. Rajcy i Ławnicy szli ku Ratuszowi.

Zdaleka postrzegli, że na nich czekała ciekawa u wrót Ratusza cizba mieszczan i kupców.

— Cóż im powiemy? rzekł Wójt.

— Co? odpowiedział Pisarz rezolutnie niepotrzeba im mówić o przyjęciu u Wojewody, boby to zwierzchność poniżyło, w ich oczach, lepiej oznajmić, że P. Kasztellan i Wojewoda obowiązali się o tyle o ile — mieć wzgląd na miasto.

— A jak się zład inąd o tém dowiedzą?

— Łatwe przekonanie, że z nami prawda, a to baśnie wszystko, zawołał Pisarz. Inaczej upokorzeni byśmy w oczach podwładnych zostali, czego Boże uchowaj, bo gdy i tak mało na nas mają wzglądu, toćby do reszty sponiewiérali.

— A co dobrego przynosicie? spytali oczekujący wracających.

— Słowa pokoju i dobrej otuchy, rzekł Wójt — wszystko dobrze.

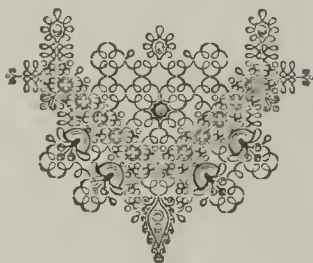
— Przyjęto nas ze czecią należną — dodał Pisarz zuchowato.

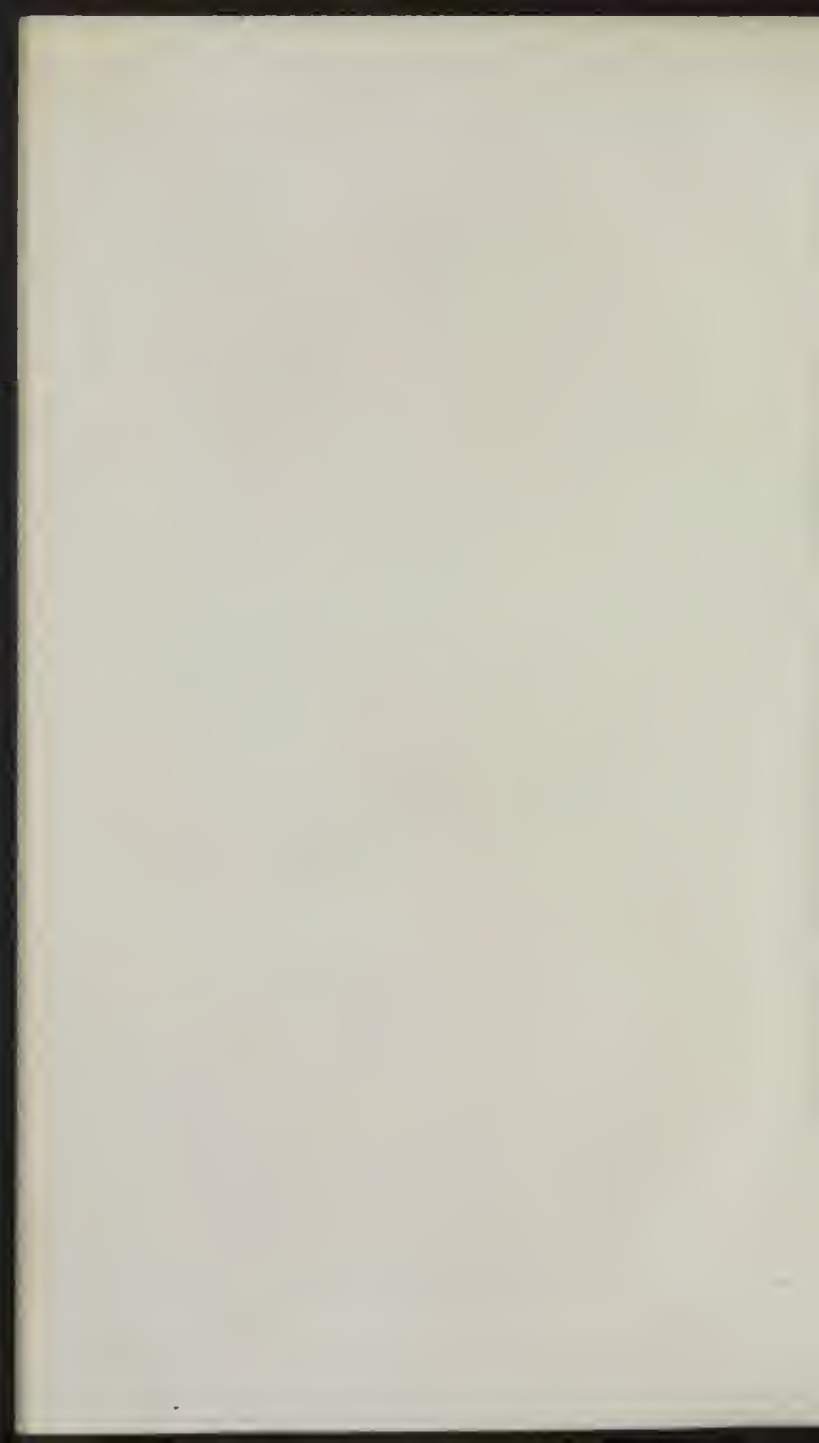
— Miasto może się spodziewać wszelkiej powolności od Wojewody i Kasztellana; kończył Wójt.

— A nie będzie wojny?

— Choćby i była, (bo to tego przewidzieć nie można)— obiecano nam jak najmniej szkodzić!

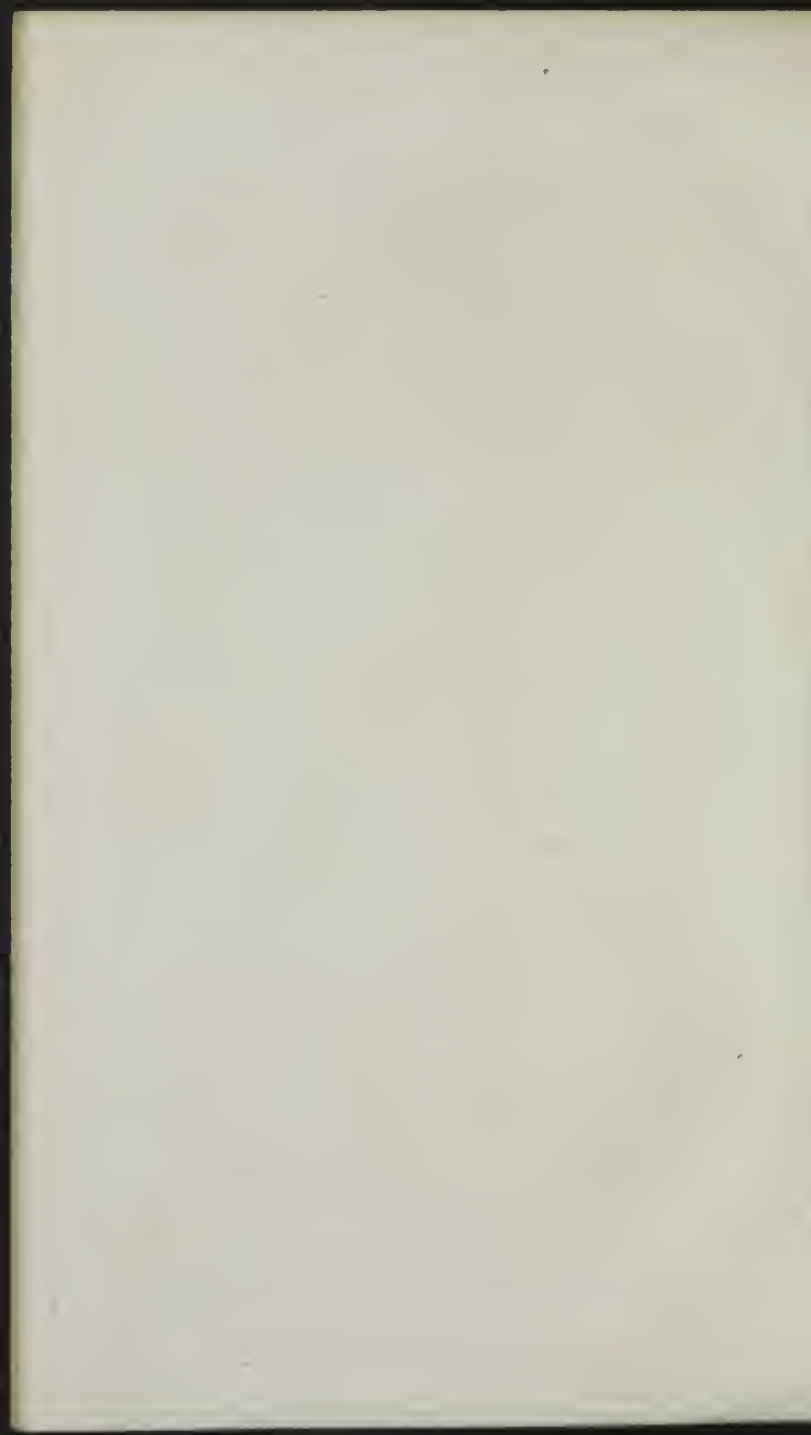
— Zapewne! rzekł kiwając głową jeden z mieszczan, przeproszą nas zrabowawszy i płakać będę gdy spalą!

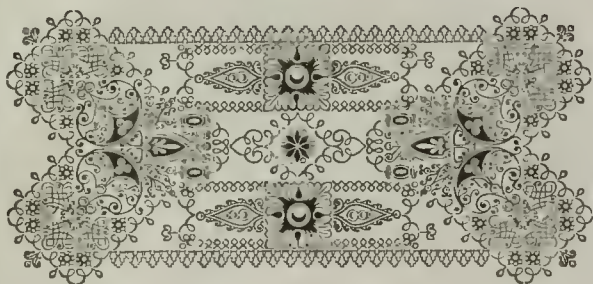




III.

T o m i t o .





III.

T o m i ł o.



ZMIERZCHAŁO już, ale jeszcze na Ratuszu, nie wydzwoniono gaszenia ogni, pełne jeszcze były gospody, garkuchnie i winiarnie i mniej śmieli mieszczanie z latarnia-

mi, w kije nasiekiwane zbrojni przesuwali się po ulicach. W kościołach dzwoniono na Anioł Pański, którego pobożni klękając wśród ulicy nawet odmawiali. Głos dzwonów mieszał się z turkotem kolass i wozów, z głosami przechodzących. W oknie Chodkiewiczowskiego pałacu na Zamkowej, siedziała Xiężna Zofja Słucka, wpatrując się przez drobne szyby na ulicę, oczyma, które jednak nie widziały. Smutna, zamysłona, chciała się widokiem ulicznego ruchu rozerwać, ale padający zmrok i ten jej widok coraz bardziej odbierał.

Siedziała jednak i patrzała w ulicę, jakby wyglądała czego, jakby na kogo czekała — A w ulicy dość było pusto, bo prócz kilku osób, które wchodziły i wychodziły z szynku Malchera pod Bachusem, nikt się nie pokazywał. Wrota Chodkiewiczowskiej kamienicy jeszcze były otwarte na ościęż, stał w nich tylko wrótny starszek, mówiący jak wszyscy Anioł Pański za dusze zmarłe, które głos dzwonu pamięci żyjącej braci, przywodził. Wtém od Zamku coś się zaczęło chlapać po

błocie i ukazała się stara żebraczka w łachma-
nach odartych, która coraz tu powolniej idąc,
wreszcie przeciw okien Xiężnej, spójrzawszy
w nie, zastanowiła się podniosła głowę i po-
patrzywszy coś, zamruczała. Postrzegła ona
bladą twarz Xiężnej, między szybami bie-
lejącą.

— Dajcie szeląg ubogiej, zawołała — a Bóg
Was pocieszy. I to mówiąc wyciągnęła rękę
ku górze, a w dół na wrótłego patrzyła, któ-
ry zajęty modlitwą, na nią nie uważał — I po-
wodziła jeszcze.

— Dajcie Pani, szeląg ubogiej! a Bóg Was
pocieszy!

Otworzyła się szyba w oknie i z niej w pa-
piér uwinięty pieniądz wyłeciał na ulicę, któ-
ry uboga schwyciła skwapliwie, podniosła o-
czy w górę i zaczęła dziękować.

— Bóg Wam zapłacić za jałmużnę, Jasna Pa-
ni! Bóg zapłacić!

Xiężna okno zamykała już za sobą, a sta-
ra obejrzawszy się raz jeszcze, nazad Zam-
kową ulicą poszła, prędzej niżby po jej zgar-
bieniu spodziewać było można. Jak tylko stra-

ciła z oczów kamienicę, jęła rozwijać pieniądz i rzekła do siebie.

— Cały talar! ale więcćj wart ten kawałek papięru, niż pięniędz, bodajby był portugał. To mówiąc uwinęła papięćr starannie i pociągnęła się do Radziwiłłowskiego pałacu, a doszedłszy furtki mniejszćj, która na ulicę wychodziła, weszła nią i prosto udała się ku galerji, do którćj wązkie wiodły schodki.

Śmiało i zręcznie wdrapała się na wschody zapukała do drzwi, otworzyła je i weszła. Zobaczył ją w piérwszćj izbie siedzący dworzanin i rzekł.

— Idź się rozbićrż w komorze, bo tu jest kłóś obcy — Coś zrobił?

— Wszystko dobrze! odpowiedziała mniemana żebraczka, kryjąc się do alkierza.

Tu zrzuciła łachmany, umyła się i wzięła męzkie suknie. Był to bowiem Tomiło Tomiłowicz, powiernik Xięcia, który tym sposobem list od Xiężnćj mu nosił. Przebrawszy się znowu wyszedł do izby i zapytał.

— Kto tu jest?

— Sprowadził tu P. Adam, jakiegoś Chod-

kiewiczowskiego dworzanina, którego tu poją i muchy mu z nosa wyciągają.

Dosłyszawszy tego, wszedł Tomiło Tomiłowicz do izby, gdzie się kilku jego towarzyszy dworzan znajdowali nad dzbankiem, wpośród których Pan Brożek, znajomy już nam, trochę podpiły, głośno gadał.

Na widok Tomiły, którego był już widział kilka razy, choć go po nazwisku nie znał, chwycił się z ławy Brożek i uścisnął go serdecznie.

— A i ty tu!

— I ja tu — odpowiedział Tomiłowicz.

— Cóż ty tu robisz? spytał Brożek.

— Przyszedłem w gościnę, rzekł i mrugnął na otaczających.

— Siadajcież a przepijmy do gościa — rzekł inny nalévając do kubka. I przepili w koło jeden do drugiego, kubek z rąk biorąc, a kłaniając się sobie. Tomiłowicz szeptał w ucho swoim towarzyszom.

— Czy już co gadał?

— Jeszcze nie! odpowiedział któryś, ale go już czas wyciągnąć, bo sobie podpił u Mal-

chera, a od Malchera tuśmy go przywiedli, ani się domyśla, że jest z Radziwiłłowskiemi.

— Do WMości P. Brożek, rzekł Tomiło. Co tu u Was slychać?

— At! co slychać! zawsze jedno, fortecę robią, armaty kupują i sprowadzają, wojsko spisują, szable ostrzą, pancerze podszywają skórą— Zjedzą tyle go djabła Radziwiłłowscey, jeśli nam dadzą rady.

— Oj pewnie! rzekł drugi— I dużoż tam już macie Indu spisanego.

— Kto ich tam policzy, odpowiedział Brożek machając ręką, z całego świata ich zbiera Pan Starosta. Teraz P. Marszałek pojechał za ostatkiem do Pruss.

— Któż to taki Wasz Marszałek? spytał Tomiło.

— Albo go nie znacie! wój! P. Mikołaj Chaniec. Nie lada rodu człek, mówi, że jeszcze wszystka litewska szlachta bydło pasła i w skórzanych łapciach chodziła, kiedy jego przodkowie Xiążętami już byli.

— No — ale teraz za to, odpowiedział Tomiło, on już nie Xiąże, a szlachta bydła nie

pasie. A zatém kwita byka za indyka. A którą drogą pojechał?

— A Bóg go tam wie!

— Wiele tam armat macie, co się o nie tak staracie?

— Ja myślę, że ich tu będzie więcej więcej, niż na ostatniej wyprawie, bo żeby tylko miejsca policzyć, które dla nich przysposobiono, w kamienicy, na dachach i murkach.

— Już porobiono?

— O! tylko postawić armaty — zawołał Brożek. P. Barberjusz pracuje niezmiernie i powiada, że lepiej im się będzie bronić, niż Radziwiłłowskiemu napastować, a choćby heretycy nie wiem wiele ludu mieli, to go w ulicy nie pomieszczą razem. To co przyjdzie na strzał, chlast w oczy kulkami i śmigownice wyśmigają.

Tomilo Tomilowicz kiwnął głową, popatrzał na swoich, i znów jął wypytywać o ilości wojska.

— Dużoż tam u was ludzi?



— Mówiłem wam, że nie wiem dobrze, ale słyszę jak go zawsze na tysiące liczą Pan Barberjusz z Panem Starostą i Panem Alexandrem.

— Zkądże go bierzecie?

— At, po świecie jak grzyby — rzekł Brożek, ten tam ten sam. Czy to mało takich, co się za dobry jurgielł zaciągają! Nie żałują też pracy, posyłają za niemi wszędy. U nas ruch teraz wielki, Starosta jeździ a jeździ.

— I teraz pono niéma go w Wilnie?

— Niéma, powróci chyba na samą uroczystość, a to z działami i wojskiem razem, za miesiąc dopięro.

— Któż tam będzie dowodził?

— A któż? sam Pan Starosta — zawołał Brożek, a pod nim P. Mikołaj Chamiec. Wojak też nie lada jak to mówią. Inni będą mieli różnych swoich rotmistrzów.

I znowu pili do siebie i śmieli się i gwarzyli lecz Tomiło znikł wkrótce. Pobięgl do Xięcia młodego.

Wszedł niepowiedziany i stanął przy drzwiach. W komnacie paliły się kilka świec żółtych. Xiążę Janusz próbował broni, szablę wyginał, opatrywał, i ze stosu wielkiego głównie, snać do oprawy wybierał.

— Tomiło? rzekł podnosząc głowy — a co?

— Jest pismo! odpowiedział dworzanin. Xiążę rzucił szablę i chwycił podany papier, podbiegł ku świecy, czytał je, marszczył czoło i kiwał głową. Potém schował list i podniósł oczy.

— Co więcćj?

— Tylko cośmy tu sprowadzili jednego z Chodkiewiczowskiej psiarni — papistę rzekł Tomiło — pogadał nam wiele rzeczy.

— Cóż takiego? spytał X. Janusz.

— Że P. Starosta zebrał dział wiele, że wojsko aż z za granicy spisuje.

— To nie sekret, rzekł Janusz.

— Że sam Pan Starosta dowodzić będzie.

— Nic i to nie wadzi — odpowiedział młody z pogardą.

— Że wszystko w kamienicy gotowe, strzelnice wykute w murach.

— A z kąd działa pobrali?

— Tego nie wiem— Ale powiada, że Barberjusz jakiś tam ich Francuz zapewnia, iż lepić mu stokroć będzie bronić się w kamienicy, niż nam napadać i szturmować, bo wojska nasze wszystkie się w ulicę nie pomieszczą, a po jednemu z kolei podchodząc hufce, z dział wybite być mogą,

— Alboż to na to niema rady? odparł Xiążę, nim oni działa po raz drugi nabijają, my wrota wylamiam.

To mówiąc ruszył z pogardą ramionami i dodał.

— Wiész Tomiło, ile Chodkewicze, po kupcach ołowu i prochu pożyczyli albo pieniądze.

— Ołowu i prochów a saletry nie wiem wiele, a pieniędzy ilem się dowiedział kilkaset kop. Te wszystkie poszły na wojsko—

— Przynajmniej się wycieńczą, zawołał Janusz—choć im wszyscy pomagają—! Król Je-

go Mośc milezkiem i pocichu—Jezuici—Polacy. Ale potopią oni wszystkie blony okien swoich palaców i kamienie na kule, wszystkie blachy i ryny kościelne, nim nas przemogą. Łatwiej nam o tysiąc niż im o dziesięć.

—Na, rzekł do Tomiły, weź tę głównię i każ ją płatnierzowi osadzić w tę rękojeść mocno i uczciwie. Niech mi też naprawi lekką zbroję, choć jēj może włożyć nie wypadnie, niech będzie cała, bo i rzemiona się poobrywały i łuska na piersiach odstawuje się.

Tomilo Tomilowicz zabrał co mu kazano, a Janusz w milczeniu stanął zamyślony.

—Widziałeś Xiężnę? spytał.

—Widziałem. Jak zawsze tylko z okna.

—Nikt cię nie postrzegł?

—Nikt sędzę, choć wrótny stał u bramy.

—Jutro—rzekł po chwili Xiążę, ja pójdę sam na twójém miejscu.

Wy! Xiążę, zakrzyknął Tomilo.

—Cóż to za dziw! Ja sam—Mógł Xiążę Siemion Siucki w żebraczém odzieniu, wejść do Lwowa do swojej Malszki, spróbuję i ja tego fortelu.

— A jeśli W. X. Mość złapią?

— Już ciż mnie nie powiesz—rzekł Xiążę.

— Ale zdespektować mogą.

— Będę miał tulich pod suknią — Wszak niema Starosty, Kasztellan u siebie, w kamienicy same baby?

— Ale ciżba dworzan, ale oczu tyle, wszyscy tak dobrze W. X. Mość znają rzekł Tomiło. Co na to powie rodzic W. X. Mości?

— Wojewoda wiedzieć nie będzie, prędko podchwycił Janusz, a ty nie pleć przed nikim Tomiło, wara! bo ci niechybnie języka oberzną. Myślisz że się potrafię dostać do środka?

— Jeśli słudzy na kułakach nie wypchną.

— Już ciż puszcza żebraczkę —

— Tego nie wiem — rzekł Tomiło, sam nigdy się do środka nie dostał.

— Bo tchórz jesteś.

— Ja, M. Xiążę? Ja? Kiedyż W. X. M. złapałeś mnie tchórzem?

— Ot teraz gdy mi odradzasz jedynego sposobu widzenia się z Xiężną — którego koniecznie potrzebuję.

— Bo o W. X. Moś się lękam, nie o siebie.

— O mnie, czy o siebie, dość że się boisz, rzekł Xiążę—Idź do płatnérza—Na jutro suknie żebracze!

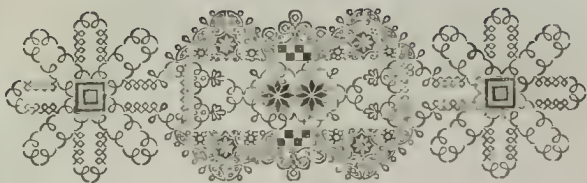




IV.

**Xiąże Janusz w Kamienicy
Chodkiewiczowskiej.**





IV.

Xiąże Janusz w Kamienicy Chodkiewiczowskiej.



NAZAJUTRZ wieczorem samym, drzwi u X. Janusza, były na rygiel ze środka zamknięte, bo on brał na się żebracze odzienie, pod którym miał się wcisnąć do

Xięźnój. Odważny młodzian ze wstrętem dotykając łachmanów, któremi go Tomiło Tomiłowicz odzięwał, śmiał się niekiedy sam do siebie.

— Otożby dopiero, mruczał, śmieli się ze mnie nieprzyjaciele, gdyby mnie w tym stroju widzieli, gdyby mnie pod temi chusty złapali. Ale licha zjedzą, nim się tego domysła!

To mówiąc wdzięwał brudne płachty, i czarne swoje włosy związywał chustą a niższą część twarzy czarno obrastającą, przykrył także szeroko pod brodę zaplątaną szmatą. Potém Tomiło podał mu kosztur i nauczył go jak miał iść, jak się garbić, jakim głosem mówić. Powtórzył przestrogi, jak się wkraść do kamienicy.

— O téj porze, rzekł, Xiężna zapewne jest sama w swojej komnacie, bo P. Ochmistrzyńni bawi zwykle na pacierzach z kobietami, które Xiężna jako innéj wiary, osobno odprawia i wcześnój. Znasz W. X. Mość drzwi pokoju Xięźnój Pani, miej cierpliwość pomodlić się przed niemi a nie wchodź, aż wprzód się przekonasz, że w kurymarzach niema niko-

go. Pokój P. Ochmistrzyni jest tuż obok, przeto i głośno mówić nie radzę. Nie bardzo wrótty puszcza żebraków, bo i ja kilka razy próbowałem wkraść się do kamienicy, a zawsze mnie bez litości odepchnął. Uważaj przeto W. X. Mość, abys się wcisnął furtką, gdy on się zapatrzy i mnięj uważać będzie. Nie baw też W. X. Mość długo i nazad uprosz Xieźnój, aby Cię którejś słudze nazad do wrót odwiesić przykazała; boby cię mogli trząść i szukać czy nie ukradła czego żebraczka. A takby się wszystko wydało.

Gdy to mówił Tomiło, Xiążę resztę swego ubioru wdziewał, torbę narzucił, przypasał garnuszek i szedł do drzwi.

Czekaj W. X. Mość, rzekł jeszcze sługa, niech wprzód zobaczę, czy niema kogo, co by zobaczywszy W. X. Mość w tym stroju mógł co pogadać nie do rzeczy.

I Tomiło wybiegł, obejrzał, powrócił.

— Idźże W. X. Mość z BOGIEM, i daj Boże szczęśliwie!

Xiążę Janusz wysliznął się z komnaty i śpieszno zbiegał ze wschodów.

— Na Boga Żywego! rzekł Tomiło doganiając go, nie idźcie W. X. Mość, tak śpiesznie i tak prosto, bo wszyscy poznają, żeś nie jest kim się pokazujesz. Powoli potrzeba, zgarbiono, a oczy i głowę w dół opuścić.

X. Janusz poprawił się trochę i wyszedł w ulicę. Ale zaledwie tu stanął, znowu się zapomniał, podniósł głowę i gdy go ktoś przechodzący potrącił, omalo się nie wydal; już zabrawszy się go karcieć, przecieć przejąwszy się duchem swego stroju, pomiarkował się w czas i już pokorniej, powolniej, włókł się ku kamienicy Chodkiewiczowskiej.

Zmierzchało właśnie, a wrótny znowu Anioł Pański odmawiał, w oknie błąda świeciła twarz Xiężnój. Udana żebraczka podniosła oczy i rzuciła się do bramy. Wrótny właśnie był zatopiony w modlitwie i nie uważał, jak się boczną furtką wślizgnęła — do kamienicy. Tu cicho było. Cały dom się modlił lub po izbach porozchodził, puste były wschody, a Xiąże Janusz obejrzawszy się dokola, poszedł niemi, ku znajomemu sobie mieszkaniu Xiężnój. Niespokojność go jednak mimowolnie

brala na każdy szelest wokolo, na każde szeszenie, na każdy trzask otwierających się drzwi. Z bijącym sercem stanął u proga i mruczyć począł jak gdyby się modlił.

Stał tak chwilę, a nikt do niego nie wyszedł. Coraz głośniej się modlił i spójrzal w komnatę. Xiężna jeszcze stała w oknie—Chcąc jęj uwagę na siebie obrócić, Janusz odezwał się.

—Na miłość Boga dajcie szeląg ubogiej.

Zofja odwróciła się szybko i spójrzała dookoła siebie, podsunęła się ku drzwiom.

—Po coś tu wszedł? zawołała sądząc, że to był Tomiło Tomiłowicz—Idź! idź sobie, bo cię złapią—poznają—Idź!

Wtém Janusz, oderwał z twarzy swojej chustkę, która go zasłaniała i pokazał się jęj. Mimo zmiroku panującego w komnacie, poznała go a raczej przeczuła Zofja i zakrywszy twarz rękoma odstępowała od niego.

—Także to mnie witacie? rzekł Xiąże Janusz pocichu.

—Po cóżeś tu wszedł? odezwała się Zofja. A! idź! idź! mnie śledzą, spiegują, zobaczają Cię, Ty siebie i mnie narażasz—Idź Xiąże—idź!

— Ja już nie pójdę tak, rzekł Xiąże, i nie potom przyszedł, abym z niczém odchodził — Chciałem mówić z Tobą Xiężno, bo Twoje pisma codziennie bardziej mnie trwożą. Tak że Cię to już nieprzyjaciele nasi, uprzedzili i obłąkali, że się nas zupełnie wyrzekasz?

— To nie czas, to nie miejsce odpowiada Zofja lękliwie się oziérając dokoła, nie czas się tłumaczyć. Ja dałam słowo Kasztelanowi, że się z Tobą widzieć nie będę — Idź Xiąże, zaklinam, idź — idź prędzej. Idź ztąd!

— Ja nie pójdę — rzekł Xiąże — ja tu zostanę, bodajby mnie Cbodkiewicze wyrzucić kazali za wrota. Ja z Tobą muszę pomówić Zofjo. Tak dawnom Cię nie widział, chcę się przekonać, czyś zapomniała ze wszystkiém już mnie i twoich dawnych przyrzeczeń.

— O! ja wszystko pamiętam — wołała stłumionym głosem Xiężna, lecz na miłość Boga, na Tróję Przenajświętszą, na wszystko Cię zaklinam, idź ztąd idź, poznają Cię — Xiąże pomyśl tylko, co o mnie, co o Tobie powiedzą, co ze mną poczną, jeśli tu Ciebie odkryją. Ja będę najnieszczęśliwszą, mnie zamkną

w klasztorze, mnie obstawia strażą, ja będę niewolnicą! Ulituj się nade mną, idź, idź!

Xiąże nie ustępował.

— Jedno tylko słowo, a pójdę, rzekł — Jesteśli zawsze jak byłaś moja, Zofją, czy nie?

— Zawsze Twoją jestem duszą — odpowiedziała Xiężna, ale nigdy twoją nie będę.

— Jakto! Cóż to znaczy?

— Dałam słowo i dotrzymam słowa Kasztelanowi stryjowi, że tę myśl nawet i nadzieję odepchnę. Nie naglij mnie Xiąże, nie obwiniaj mnie, bo nie moja wina. Wyście to sami zrobili — nie Ty Xiąże, ale Twój ojciec.

— Mój ojciec! Was już Xiężno nauczono na nas patrzeć inaczej niż wprzód, lecz cóż na Boga winien nasz ojciec; że się o swoje na Chodkiewiczach dopominał, i że gdy oddawać nie chcą, przed Sądem ich powołał? Jestli to taką zbrodnią, jak uiedotrzymanie i połamanie obietnic, które tak haniebnie połamali oni?

— Nie mów nic na nich Xiąże, odpowiedziała Zofja, jam im winna wdzięczność, ja tego słuchać nie będę — Idź, idź? Niech to

Bóg przemieni. Jeśli kiedy zmienia się okoliczności, jeśli oni się nakłonią, znajdziesz mnie zawsze taką jak byłam, kiedyśmy z sobą dziećmi w Brzostowicy igrali!

To mówiąc Xiężna wezwawszy wspomnień owych lat dziecinnych, mimowolnie się poruszyła i zamyśliła, tak żywo jój one przed oczyma stały.

— Więc to tylko odpowiedź twoja-Zofjo!

— Tyle tylko odpowiedzieć mogę — rzekła, bo ja nie jestem swoją, ja sobą nie rządę — ja nie nie mogę — chyba płakać i cierpieć.

Xiążę Janusz uderzył nogą w podłogę i wyprostował się dumnie pod swojemi żebrackimi łachmany, a patrząc na bladą piękną twarz Xiężnej, poruszył się gniewem okropnym, wspomniawszy na swoje położenie dzisiejsze, i na nadzieje jakie miał wprzód.

— Otoż co oni zrobili! zawołał.

— Nie oni, odpowiedziała Zofja — nie oni zrobili dwoje nieszczęśliwych — Na cóż było ich jątrzyć, na co ich było do ostatka doprowadzać?

— Mogliżeśmy się im płaszczyć, my! my! rzekł Janusz.

— Lecz czyż dla mnie nie mogłeś tego uczynić?

— Dla nikogo, i za nic i nigdy! zawołał dumnie Janusz.

Xięzna cofnęła się.

— Idź, rzekła, już i tak nadto tu jesteś długo; zaraz się skończą paciérze, ludzie się po kórytarzach rozpierzchną i gdy Cię tu spotkają — A! idź, idź na Boga!

— Słowo jeszcze — tylko słowo — odezwał się Janusz, tak to mi dziwno, z Tobą Xięzno mówić ukradkiem, widzieć się tylko tak krótko! — O! nie tak bywało dawniej — Zofjo, ja się o Ciebie dobijać będę orężem i wojną, ty wiesz o tém. Jeśli do Ciebie przyjdzie nasz spór jedném słowem rozstrzygnąć, pomnij na naszą młodość, na wszystko dawne. Wszak wyrzeczysz się za mną? wszak gdy Cię spytają, czy mnie żadasz za męża — nie zamilknieysz, nie odepchniesz mnie. Wszak mogę na to rachować — Zofjo! I Xiąże czekał odpo-

wiedzi, Xiężna Zofja mileząc patrzała na niego.

— Niéma temu nad kilka miesięcy pytał mnie o toż samo, temiż prawie słowy Kasztellan, odpowiedziała, powiedziała mu, że jestem Twoją i nigdy się Ciebie usty nawet nie wyrzeknę, ale mu obiecała, że nigdy Twoją nie będę bez jego zezwolenia. On mnie zna, on nie dopuści ażebym ja rozstrzygała między wami, bo wie, że mijając wszystkie właśnie, za Tobą bym się wyrzekła.

— Za mną! zawołał Janusz — Dzięki Ci za słowo! Dałaś mi nową broń do walki z niemi! Jeśli tak, ja będę stał przy tém, ja dopnę tego, że Ty wszystko rozstrzygniesz, że Ty będziesz moją. Tak, tak, dodał, bądź spokojna — próżno się Chodkiewicze zmagają, będą oni musieli ustąpić, bo nie po ich sile z nami się zadziierać. Gdyby przyszło miasto zburzyć całe, a Ciebie tém dostać — my je zburzym, my je wywrócim, rozniesiem po cegle. Nie bój się więc Zofjo i miej nadzieję — Jeśli Ty za mną, my swego dopniem. Tyś moja!

Ale Xiężna, gdy to Janusz domawiał, już

się była odwróciła, i dawała znak Xięciu, aby odszedł, gdyż usłyszała, skrzypnięcie drzwi i wprzód nim Xiąże potrafił twarz zasłonić ukazała się Ochmistrzyni, w całej swojej wspaniałej strukturze, ukazała się i stała w progu. A ujrzawszy żebraczkę w mroku, zawołała.

— Co to? kto to? Kto tu śmiał wejść? Xiężna poskoczyła ku niej śmiało.

— Mój Pan Włódka, rzekła, nie łajże i nie hałasuj — chciałam dać jałmużnę, tej biednej kobięcie i zawołałam ją tutaj z ulicy — Cóż w tém złego?

— Co złego? podchwyciła Ochmistrzyni, ale to szkaradnie! Czyż to się godzi żeby żebracy dotykali W. X. Mości. Coby na to rzekł P. Kasztellan, gdyby się dowiedział; Bóg wie jaka żebraczka złodziejka.

— Ale ona się zawsze modli w naszej Cerkwi — odpowiedziała Xiężna — ja ją znam.

— Oni to roznoszą zarazę i choroby po mieście, mówiła ciągle szybko Ochmistrzyni, jeszcze tu, Boże uchowaj, jakiej zarazy niosą — Precz! precz! ja jej muszę kazać dać

naukę, żeby się drugi raz nie ośmieliła włóczyć po kamienicy.

— Na miłość Boga, zawołała Xiężna nie czyńcie tego Pani Włodska, nie czyńcie — Czyż się to godzi, mnie wstyd robić. Kiedym ja ją zawołała, a wy jęj krzywdę uczynicie, to spadnie na moje sumienie, moja droga Pani, dajcież jęj pokój. A do Xięcia ozwała się.

— Idźcie sobie, idźcie poczeiwa kobięto — Bóg z wami, idźcie, czego stoicie. Xiąże się ruszył, a Zofja schwyciwszy za ręce Ochmi-strzynią, trzymała prosząc ją ciągle. Ta zaś wyrywała się i krzyczeć chciała na sługi, aby żebraczkę ze wschodów zepchnęli. Tym czasem Xiąże Janusz schodził ze wschodów i śpieszył do bramy, ale tu niespodzianie, zastał ciżbę dworzan, którzy rozmawiając z wrótnym, wyjście mu zaparli. Chciał się przecisnąć przez nich, nie było sposobu. Skurczywszy się więc jak mógł, przypadł w kątku ciemniejszym i czekał. Tym czasem noc stawała się coraz ciemniejsza, a panowie dworscy, pogadawszy chwilę, rozechodzić się poczęli i już Xiąże Janusz do wrót się cisnął,

gdy go wrótny postrzegł i za kołnierz pochwycił!

— Coś ty za jedna? Po co ty tu? Hej! złodziejka! krzyknął — Hola, he!? Jest tam kto? trzeba ją przetrząść i ochłostać, kiedyś ty się tu wkradła? jak? — I wrótny wrzeszczał na całe gardło, a na hałas ten u bramy już się posunęli ludzie z drugiego dziedzińca, gdy Xiąże Janusz widząc niebezpieczeństwo swoje szarpnął się mocno, wyrwał wrótnemu i pogonił w drugą stronę pędem, sądząc, że wrota przeciwne zostanie otwarte. I te wszakże zamknięte już były i zasunięte drakiem. Od nich więc biegł po pod murem, ku stajniom, a dopadłszy gdzieś siana, ukrył się i znowu przypadł.

Tym czasem na głos wrótnego —

— Złodziej! złodziej! wszysej się zbiegli.

— Gdzie? co? wołali.

— O tu, tu był, trzymałem go za kołnierz, mówił wrótny, tylko co mi się wymknął i pobiegł w tamtą stronę dziedzińca — Latarni dajcie, latarni.

Pobiegli po latarnią. Słyszał to wszystko

Xiąże Janusz i myślał co miał począć, a przygotowawszy broń którą miał pod łachmanami z bijącym sercem wyglądał, aż go znajdą. Wkrótce dało się słyszeć chodzenie po kamienicy i gadanie. Przetrzęsano kąty, zagłędano w kryjówki, otwierano drzwi. Głosy zbliżyły się do stajen, ale tu nie wiem czemu nikomu na myśl nie przyszło, szukać złodzieja. . . Długa godzina tak upłynęła w niespokoju i Xiąże Janusz usłyszał wreszcie jak wrótny drzwi zamykał, mówiąc.

— Niechaj no przyjdzie dzień, to go tu znajdziemy, boć się przez mury nie przedrapie, ani się gdzie skryje— Ja go jutro dopilnuję, gdy wrota otworzą. Jakoż wszyscy się rozeszli powoli i Xiąże Janusz, sam w stajniach na sienie pozostał. Wkrótce uciszyło się zupełnie, a miarkując po czasie i po wołaniu nocnych stróżów, wyrachował, że około północka już być musi. Nie biédził się wcale Xiąże wyjściem, bo szczęściem miał z sobą, ów klucz, któren mu kazał dorobić z wycisku na wosku Tomiło Tomiłowicz. Zapomniał tylko Xiąże, od której był furtki. Nie tracąc

jednak śmiałości wyszedł ze stajen i po podmurze, korzystając z ciemności powłókł się naprzód do furtki od ulicy Sawicz, odrzucił drąg, poprobował klucza — klucz nie przypadł.

Potrzeba więc było Xięciu przebyć cały dziedziniec i do drugiey furtki się dostać. Ale wtém, gdy się już z kluczem do drzwiczek zbliża, i w ciemności ich szuka, słyszy za sobą chód. Zastanawia się. Któs idzie do furtki także. Xiążę już ją odemknął i miał się z kamienicy wysunąć.

— Kto tam? ozwał się nadechodzący.

Xiążę Janusz przypominał sobie, jakim sposobem Tomiło Tomiłowicz klucza dostał i odpowiedział.

— Swoj, idę po wino dla P. Barberjusza.

— Co? zawołał nadchodzący — i wy? a któż wam dał klucza od furtki?

— Kto? a co Waści do tego?

— I bardzo do tego, rzekł zbliżając się Brożek, on to bowiem był, bo ja mam klucz od téj furtki dany mi przez P. Burczaka i idę po wino dla P. Barberjusza.

Gdy to mówił, już Xiąże znikł w ulicy i szybko dążył ku swemu pałacowi, gdzie go u wrót czekał Tomiło Tomiłowicz przestraszony długą niebytnością, niespokojny, nie wiedząc już co począć, lękając się gniewu Wojewody, gdyby się o tym wypadku dowiedział.

— To Wy! zawołał, a dzięki Bogu! bo od kilku godzin truchleję ze strachu.

— Zawsześ tchórz Tomiło Tomiłowicz, od rzekł Xiąże — Byłbyś niechybnie umarł gdybyś był na mojem miejscu i w mojej skórze, gdy mnie jak złodzieja chwytno.

— Jak złodzieja! wykrzyknął Tomiło, W. X. Mość!

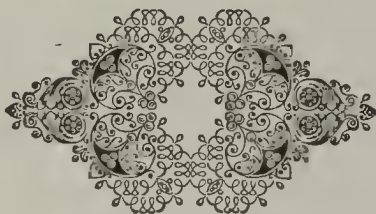
— To szczęście że miał z sobą twój klucz Tomiło, boby inaczéj dali mi byli naukę dobrą, odpowiedział Xiąże, wchodząc do pałacu. A tak im z rąk uszedłem.

I śmiejąc się dodał.

— A twój dworzanin znowu po wino poszedł, właśnie go spotkałem we wrotach ze dzbanem i gdy mnie spytał — kto jestem? odpowiedziałem mu, że idę po wino dla P. Barberjusza, będzie tam z tego gadania wiele.

— Nic to wszystko, rzekł Tomiło, byleby W. X. Mości, nikt nie poznał — a niechaj im się we łbach jak chce przewraca!

To mówiąc otworzył furtkę Kardynalij i wprowadził Xięcia Janusza do jego mieszkania tylnemi wschody.

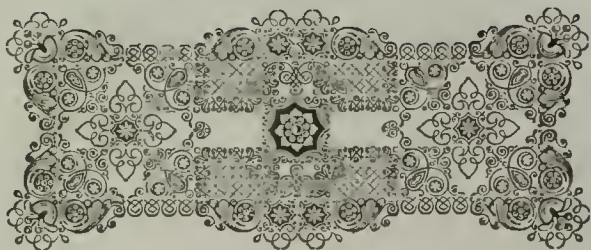




V.

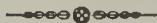
O s t r a b r a m a.





V.

O s t r a b r a m a.



NIEDALEKO Monastéru i Cerkwi Stauro-
pigijskiej Ś. Ducha, a z drugiej stro-
ny o staje tylko od Gościnnego Dworu Kup-
ców Ruskich, na Oстрыm końcu, wznosiła się

jedna z pięciu bram miasta, przed stu laty za Alexandra zmurowanych, gły popłoch od Tatarów, przynaglił Króla, Wojewodę, Biskupa Wojciecha, do pomyslenia o obwarowaniu miasta i zabezpieczeniu się w niem, od najazdu dziezy pogańskiej. Brama ta była nastrzępiona blakami i dwoma wieżyczkami, w których gdyby oczy, czerniały strzelnice puste, bo minęła chwila strachu i śmigownice leżały znów i rdzawiały w Cerkhanzie miejskim. Ciężkie dębowe nabijane żelaznemi gwoździemi wrota, stały jeszcze otworem na potężnych wrzeciędzach, w górze po nad niemi gęsta żelazna krata zasłaniała otwór Bramy. Nie było na piętrze mieszkania żadnego, tylko od strony miasta, po nad wrotami w murze, widać było w framudze niegłęboko wydrążonój Obraz Matki Bożkiej, zasłonięty malowanemi okiennicami, przed którym paliła się mdłym światelkiem lampa. W koło framugi wystająca, była galerijka żelazna, do której z dołu pobożnych, wiodły wschodeczki wązkie, z boku budowy, zewnątrz przyczepione. Już naówczas obraz w Ostrój Bramie znaj-

dujący się, był w wielkiem poszanowaniu u ludu, który się doń modlił we wszystkich swoich potrzebach i strapieniu wszelakiem. Nie było jednak przed obrazem ołtarza i jedna tylko lampa utrzymywana przez pobożnych, paliła się w framudze, a wązka galerijka przy obrazie, zaledwie kilka osób razem pomieścić mogła. Magistrat swoim kosztem, gdy nie dostawało ofiar, palił lampę przed obrazem, uważając już za opiekunkę i patronkę Matkę Bożą, której łagodne oblicze wznoszące się po nad głowami mieszkańców, z założonemi na piersiach rękoma, zdawało się tulić biednych do siebie i płakać nad niemi.

Mieszczanie przechodzący tędy zdejmowali z uszanowaniem czapki i kapuzy, a kupey Ruscy stojąc we drzwiach swego gościnnego domu, ganiłi Żydów którzy zbliżając się do Ostrój Bramy nie zdejmowali nakrycia z głowy; — tak, że rzadko Żyd tamtędy, chyba po nocy, przejść się odważył.

W Bramie siedział Wrótny i Strażnik miejski pobierający od przejeżdżających na targowisko chłopków, grosze od woza lub ka-

mienie, któremi także prawo wjazdu do miasta opłacano w początkach. Nieraz pod tym Matki Bożkiej Obrazem zacięta walka i spór i bójka się wszczęła, nieraz się zakrwawił bruk i garściami włosów zarzucił, nieraz krzyki pijanych i przekleństwa rozhlukanych, o te mury się odbiły. Lecz Matka Boża, darowała grzesznikom.

Nieco opodal od Bramy siedziały kilka przekupek, jedne ze świętościami, inne z piernickami. Te ostatnie zwano łakotnicami, bo po mieście roznosiły łakocie w koszykach. Pierwsze zaś sprzedawały szkaplerze, pierścionki, krzyżyki, obrazki i t. p. Były to ubogie niewiasty, które tym sposobem wstydząc się żebrać, powszedni chleb zarabiały uczeiwic. Łakotnice, kobiety po większej części z przedmieść trudziły się sprzedażą słodczy, owoców, to roznosząc je po mieście, to siedząc w miejscach najętych na zydlach, po za stoły drewnianymi, na których na misach i czerepkach, rozłożone stały łakocie, pierniki, makowniki, owoce. Tego wieczora już się łakotnice zabięrały do domów, już prze-

kupki szkaplerzy i krzyżyków zwijały swój kramik, już i Strażnik Miejski, chodził gwarząc po bramie, czekając chwili, w której z czystém sumieniem, będzie mógł zamknąć wrota i pójść do ciepłego swego kąta.— Wtém od miasta, ulicą dał się słyszeć chód szybki po bruku i młody wysoki mężczyzna ze dzbanem w ręku próżnym, przybiegł pod Bramę. Wszyscy spojrzeli na niego, pomieszany był i nieprzytomny. Wdrapał się na wschodki do obrazu wiodące i ukląkł przed nim, a postawiwszy dzban jał się gorąco płacząc i chlępiąc modlić. Lampa mdląła przed obrazem, on płakał.

— Otoż, ozwała się Marussa łakotnica, spoglądając na stróża bramnego, jakiś biedny pacholik modli się do naszej Matki Bożkiej, a płacze!! Widać go coś przypiekło!

A strażnik wychyliwszy się z wrót, spójrział w górę, pokiwał głową i rzekł.

— Gorącoż się modli, musi mu coś djable dolegac.

— I stara szkaplarnica Iwanowa z Łuki-

szek, obróciła się, utarła nos poważnie (bez pomocy fartucha) i rzekła.

— Jakiś nieborak, odc dworu czyjegoś, bo porządnie ubrany, znać go kara może jaka ma spotkać, bo się Matce Bożej wyprasza.

A na galerji klęcząc i płacząc modlił się P. Brożek (on to był znowu) załamawszy ręce.

— Matko Bozka cudowna! wołał podnosząc oczy i ręce, cóżem ja uczynił, że mam umrzeć. — Ach! czyż to na mnie pora umierać!

— Gada o śmierci! rzekła zcicha do lako-tnicy Pani Iwanowa, coś to nicmalego!

— O śmierci? spytał ciekawie strażnik. Daćby może znać do Ratusza, może to hul-taj jaki, albo się myśli targnąć na siebie. Wziąśćby go i związać i w turmę posadzić, a dać na pytki, toby wszystko wyznał.

— To nawet czego nie zrobił! dodała Pa-ni Iwanowa.

A P. Brożek modlił się.

— Matko Bozka cudowna, ochroń mnie od niezawodnej śmierci! Zlituj się nad młodo-

ścią moją, ja życie poprawię i do Klasztoru wstąpię.

Strażnik podsłuchiwał Brożka.

— To już nie chybi, szepnął, jakiś zbrodniarz skazany, złapać by go, musiał się tylko wyrwać z więzienia i myśli do Klasztoru, żeby go zamtąd władza świecka nie odebrała.

Gdy się tak P. Brożek modli, a Strażnik domyśla więcej niż jest, z drugiej strony nadbiegają od Ostrego przedmieścia Miednickim gościńcem ku Bramie, jaęys jezdni. Strażnik ku nim się odwrócił i twarzą i uwagą całą. Bo było ich kilkunastu, a jechali kłusem na tegich hestrach, a śpieszyli znać, żeby Bramy nie zaparto przed niemi. Jak tylko ujrzeli Strażnika, jęli na niego wołać.

— Hola ho! Straż! Nie zamykajcie wrót!

— Albo co? spytał Strażnik mając się do czapki, bo przeczuwał w jezdeach dwór jakiegoś znakomitego Pana.

— Zaraz za nami dążą, posłowie J. Królewskiej Mości. Panowie Senatorowie z Warszawy!

Strażnik się pokłonił, oni wjechali wrotami, pozdejmowali czapki przed obrazem i stanęli na ulicy, oglądając się po za siebie.

— Strażnik był ciekawy, jakoż nisko czapkę zdjawszy i łagodną nastroiwszy uśmiechając się minę, zbliżył się ku nim i rzekł.

— A nie można by wiedzieć, co są za ci Panowie Senatorowie?

— Cóż ci z tego przyjdzie, spytał jeden konny — choćbyś i wiedział?

— Będzie nosił po mieście nowinę — dodał drugi.

— Alboż to pospolitemu człowiekowi, niewolno mieć i odrobiny ciekawości, rzekł strażnik uśmiechając się a wdzięcząc. Toć to każdy ciekawy, każdy radby wiedzieć coś więcej od drugich. A zaniósłszy nowinę na Ratusz, dostałbym co od Panów Radnych.

Nie odpowiedzieli jezdni, nie na to, tylko się na wrota patrzali, a tym czasem podszła ku nim łakotnica z koszykiem i częstowała ich łakociami, na które się rzucili bardzo łapczywie i targować je, jeden przed drugim zaczęli.

Mieszczka zaś, po swojemu wdzięcząc się i uśmiechając do Panów Dworzan Senator-
skich, powoli badać ich zaczęła. Co inszego
to, gdy pyta kobiéta, co innego gdy męż-
czyzna; zwłaszcza gdy kobiéta jeszcze młoda
i hoża; jakoż rozwiązały się usta poniewoli
dworzanom, gdy ich tylko zaczepiła łakotni-
ca, poprawując sobie czarnego czółka, i rzu-
cając na nich po kolei, niebieskimi oczyma.

—Wieleż to tych Panów Posłów? spytała.
A gdzież to oni jadą?

—Tutaj jadą do Wilna, tu, odpowie-
dział najbliższy chowając pierniki do kiesze-
ni kaftana, prosto i umyślnie do was, do Pa-
na Wojewody i P. Rasztellana, żeby ich roz-
broić i wojny między niemi, nie dopuścić.

—A! chwałaż Bogu, odpowiedziała mie-
szczka, to już wojny nie będzie?

—Pewnie, że nie będzie! rzekł drugi.

—I miasto zostanie spokojne! Chwałaż to-
bie Boże! dodał strażnik.

—A jacyż to Panowie? wypytując zagadła
znowu łakotnica.

— Xiądz JM. Biskup Żmudzki — rzekł jeden jezdny, mój Pan. —

— Pan Wojewoda Witebski — ozwał się drugi.

— Pan Marszałek Litewski — rzekł trzeci.

— I Pan Podskarbi, dorzucił piérwszy. Ale cicho ! sza ! precz z drogi — bo oto już jadą — Jakoż gdy to mówili, ulicą przedmieścia, pokazał się jakby sznur czarny ruszający się, zbliżający ku bramie. Gdy głowa jego wsuwała się w Bramę, ustąpili wszyscy na bok z drogi i w milczeniu poglądali. Jechwały tam kolassy ozdobne, szły wierzchowe konie, byli dworzanie, byli pacholcy i wielkie bryki skórąmi okryte, na których kuchnią i tłumoki wieziono. Dwóch z Panów Senatorów, których łatwo było poznać, po bogatych strojach i po minach poważnych, jechali konno ; dwóch w kolassach posunęli się prosto minawszy Bramę ku Ratuszowi i dalej pod Zamek.

Gdy się to dzieje, modli się na galerji u Bramy. P. Brożek, a wymodliwszy się zabić — dzban i odchodzi wolnym krokiem do do-

mu dumając. I on był świadkiem wjazdu, dowiedział się o PP. Senatorach, śpieszy z nowiną do domu, trochę uspokojony modlitwą, Jednakże nim do Chodkiewiczowskiej kamienicy doszedł, napełnił dzban u Malchera i skrywszy go pod pole, wtacza się w dziedziniec, drapie się na wschodki, wchodzi, gdzie na niego czekali P. Barberjusz, P. Stanisław, P. Burczak i kilku jeszcze innych.

— Ale żeś się bawil, Panie Brożek — rzekł Francuz wyciągając rękę po dzbanek, jak gdybyśmy cię posłali o cztery mile. Dobrze WMości, po tutejszemu mówiąc, posyłać po śmierć, nie po wino.

— To też ja sobie śmierć wychodziłem — rzekł Brożek smutnie dzban stawiając.

— Co? spytał Barbier — co? Jaką śmierć? WMość od wczora jesteś jak postrzelony?

— Bo to się wczoraj stało — odpowiedział Brożek.

— Cóż się wczoraj stało? pytali ciekawie wszyscy.

— Na co to już i mówić!

— No! ale cóż to jest? podchwycił żywy

Frauncz, ja uważałem zaraz po Wasz Mości, żeś wczoraj jak zdjęty z krzyża powrócił i nie nie mówił. Cóż to ci się stało? Przecież to nie tajemnica żadna, zapewne—? Co WMość o jakiegóś śmierci prawisz?

— Trzeba mi umrzeć! odpowiedział Brożek.

— A toż dla czego? Cóż to jest, mówże wszystko? rzekli przytomni otaczając go. Jak to było? odgroził się kto na WMości, czy co?

— Żebyż się tylko kto odgroził? Ale to.

— Ale cóż?

— Ot tak było, rzekł wręście obsedowany Brożek. Wczoraj WMość posłaliście mnie po wino, bardzo późno, i myślę że już północ być musiała — godzina duchów i zjawisk.

— Cóż się WMości nbrdało! rzekł Francuz gdzieżeś widział jakie zjawisko?

— Zbliżałem się do furtki kamienicy, aby ją otworzyć, gdy ujrzałem —

— Cóż ujrzałeś?

— Drngiego takiego jak ja, z kluczem i dzbanem idącego przede mną? Kto tam? spytałem? A on mi grubym głosem — Idę po wino dla P. Barberjusza — Ja jeszcze się

nie zląkł — To ja idę po wino — rzekłem — To ja, odpowiedział mi duch i otworzył furtkę.

— Furtkę otworzył! krzyknął P. Bureczak, czémże ją otworzył, kiedy u WMości był klucz.

— Bo to był duch — rzekł Brożek — otworzył ją mówię, wyszedł przede mną w ulicę i zniknął.

Wszyscy słuchając tego opowiadania osłupieli.

— To się WMości śniło chyba — zawołał P. Barbier.

— Żebyż mi się śniło! odpowiedział płaczliwie Brożek, ale to święta prawda, na którą przysięgnę — Chodziłem wczoraj umyślnie pytać rozumnych ludzi i kobiet starych, powiedzieli mi, że ten duch, to oznajmienie śmierci mojej, której się nie uchronię, chyba wstępując do Klasztoru.

— Brednie, odrzekł Barbier szybko — Wszystko ci się marzyło — To być nie może.

— Kiedy mówię — zawołał Brożek i ręczę, że tak było. Taciem nie ślepy, tać się furt-

ka otworzyła, taciem ją ją potem zamknął, chociażem nie odmykał. I mimo ciemności widziałem jednak, że to był zupełnie *alter ego*, drugi ja, takusienki.

— W głowie mu się pomieszało — rzekł Barbier, pijmy tym czasem. I kubki nalewał, a potem rzekł do Brożka.

— Rozpatrz no się WMość, czyś tylko nie był wówczas pijany.

— Na Świętą Tróję WMości przysięgnę, że w gębie nic nie miał — rzekł Brożek ręce krzyżując. Byłem przytomny, jak teraz jestem i widziałem to oczyma własnemi.

— Dziwna rzecz — przerwał Burezak, ale najdziwniejsza, że ten duch furtkę otworzył, bez klucza — Bo klucz był u WMości.

— Jak Bóg Bogiem prawda, że furtkę otworzył i w moich oczach nią wyszedł.

Wszyscy umilkli.

— A gdzież się dziś tak długo bawił, spytał P. Barbier — Przecież to wczoraj się działo.

— Chodziłem się modlić — odpowiedział Brożek wdychając, modlić się do Najświęt-

szęj Panny w Bramie Ostrój i prosić, żeby mnie ode złego zachowała. Widziałem tam właśnie, jak Panowie Senatorowie przyjechali.

— Jacy PP. Senatorowie?

— Od Króla J. Mości, wysłani do Pana Kasztellana i Pana Wojewody dla ugody.

— Przyjechali? zawołał zrywając się Pan Barbier,

— Przed chwilą.

— A czemuż tego nie mówisz— trzeba biedz z uwiadomieniem do JMP. Kasztellana. To mówiąc Francuz rzucił dzban i porwał płaszcz i szpadę— Daj mi WMość klucza, rzekł do Burczaka, ja zaraz powrócę.

To mówiąc skoczył pędem do Kasztellanij.

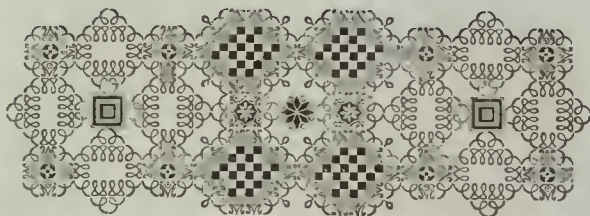




VI.

Ojcowie Jezuici.





VI.

Ojcowie Jezuici.



Gdy się to dzieje, a Panowie Senato-
rowie od Króla przysłani do Wilna
przybywają dnia trzydziestego Stycznia 1600
roku; wieść się tym czasem rozchodzi, że

wojska Radziwiłłowskie w wielkich ufcach ciągną ku Wilnu, ze wszystkich stron i kupią się razem. Głośno o tém stronnicy Wojewody mówią i o liczbie i o doborze. Ale nawzajem Katolicy głoszą, iż Jan Karol Starosta Żmudzki z kilką tysiącami ludzi i kilkunastu działami, ciągnie także do Wilna i już jest tylko o cztery dni drogi od niego. Obie strony w milczeniu i pozornój obojętności gotują się zetrzeć i orężem popierać sprawę; obie strony powtarzają — Zobaczemy!

Tym czasem o przybyciu Senatorów, wieść głucha rozchodzi się po mieście, jako o wypadku ważnym, z którego wszyscy wielkich oczekują skutków. Każdy inaczej wysłaństwo ich tłumaczy i dane im polecenia; ten w ich przyjeździe widzi z urzędu Królewskiego zupełne zabronienie wojny, krok przynaglający do zgody. Inni lepiej widzący rzeczy postrzegają, że PP. Senatorowie są tylko medjatorami, którzy absolutnie nic nie rozstrzygną i siły potemu nie mają, aby rzecz ukończyli. Oczekiwania niespokojne — oczy wszystkich zwracają się na nich, mówią o tém tyl-

ko, spoglądają tylko w tę stronę. Jakkolwiek bądź, zawsze ciekawe, jak medjacja królewska przyjęta zostanie i jaki sprawi na umysłach poważnionych skutek. Jeden drugiemu szepce do ucha — Senatorowie przybyli! Jeden drugiemu w oczy patrzy jak to przyjmie, najśmielsi czynią wnioski, najograniczeńsi formalnie widzą w tém hasło pokoju, zwiastuństwo zgody.

Zaledwie Bramą Ostrą wjechali do miasta Senatorowie posłowie i rozjechali się do domów i pałaców znajomych swych krewnych, lub zamówionych gospód — już wszysey wiedzą o nich w mieście. P. Barbier pobiegł do Kasztellana z wiadomością, Tomiło Tomiłowicz do Wojewody, a laik Jezuicki, wszedł cicho do celi Rektorskiej, w której Ojciec Garsias Alabianus z Janem Brandtem siedzieli rozmawiając pocichu.

Na szelest chodu Ojcowie umilkli i obrócili się. Z założonemi na piersiach rękoma, ze spuszezoną głową i oczyma, zbliżył się do ucałowania ręki Rektorskiej laik — Po czém ozwał się zeicha.

— PP. Senatorowie od Króla JM. już przybyli.

— Kiedy? spytał Rektor.

— W téj chwili.

— Dobrze — odpowiedział O. Garsias i ręką dał znak wyjścia braciszkowi. Ten znowu trzykroć się skłonił i cofając się powolnie wyszedł. Ojcowie zostali sami. Ledwie się drzwi zamknęły powstał z siedzenia Garsias i wodząc oczyma po celi, rzekł do Jana Brandta.

— Teraz do dzieła Ojcze — mówilem Wam i nie potrzebuję powtarzać, że zgoda heretyków z naszymi, będzie dla nas śmiertelną. Raczej wojnę przystało wybrać, w której wedle wszelkiego rachunku, nowowiercy szwank ponieść muszą śmiertelny. Rachujmy téż na to, że wojna drażni i utrzymuje w nienawiści ku tym, do których związki familijne — jedność towarzyskiego położenia, stosunki — zbliżają. Jeśli przyjdzie do zgody, jeśli P.Powie Chodkiewicze podadzą ręce Radziwiłłom i heretykom, ustanie ich czynna opieka nad nami, wojna spadnie na nas samych — a zaiście nam samym jest ciężka. Chodzi więc o

to, chodzi bardzo. w sprawie religji, w sprawie Zakonu, aby PP. Senatorowie zgody *nie* zrobili. Aby waśń i zajątrzenie trwało i rozszerzało się.

— Bez wątpienia, odpowiedział Brandt widzę to i mogę ręczyć, że Chodkiewicze dalecy są od zgody.

— Dalecy! Tak sądzicie Ojczy? spytał Rektor. Ja inaczej. Ja się boję powagi listów Królewskich, rozkazu, boję się aby patrząc na wysilenie heretyków i ogromne ich siły PP. Chodkiewicze, nie pożąдали zgody, lękając się o zwyeięztwo.

— Nie lękają się nikogo to pewna — Zwłaszcza Jan Karol, rzekł Brandt, ufa on że stojąc tylko w odporze, nie da się im pożyć.

— Nasza rzecz, rzekł Rektor chodząc, utrzymać niezgodę, ogień podsycać, bo zgoda ich, jak mówilem i powtarzam WMości, spędzi wojnę na nas samych, odbierze nam sprzymierzeńców silnych, zgoda uspokoi umysły, którym niebezpieczny pokój, które potrzeba utrzymywać w ciągłej nienawiści ku heretykom. Nasza znowu, nie dopuścić starcia się

zarówno jak zgody. Bo i starcie się niebezpieczne równie. Kto więc, przy kim zwycięstwo. Zwycięstwo uzuchwaliliby ich i mogłoby mieć niewyrachowanie złe skutki. Chodzi więc o to, aby nie dać im się pogodzić i nie dopuścić się zewrzeć. Rozumiecie mnie Ojczy?

— Doskonale — odpowiedział Brandt, i tak myślę właśnie o tém, jak Wy.

— Przyłóżcież starania do pierwszego naprzód, rzekł Rektor, to jest postarajcie się przygotować Panów Chodkiewiczów, aby zgody jako uwłaczającej im nie przyjmowali. Mówcie im że Król w prywatnych spory mieszając się nie ma prawa, że Radziwiłłowie pragną zgody, że się boją, że oni by okazali mało sereca, gdyby podali rękę. Niech stoją śmiało, a pewni będą, że nie damy im paść, bo wszysey Katolicy z niemi i z nami.

— Powiem to wszystko, rzekł Brandt i więcej jeszcze. Znam ja PP. Chodkiewiczów, boli ich to, że Radziwiłłowie silniejszemi się okazują i lekce ich wazą. Potrafię to uczucie któregom pewien podnieść i rozżarzyć, potrafię im dowieść, że zgoda by ich upokorzy-

ła, że nie mają się czego lękać wojny, boć o to świeżo Xiążę Wojewoda posyłał ku nim Rancierza Sapiehę z innemi. A to co znaczy, jeśli nie, że ich się lękają i potrzebują. Rachujmy też coś na wielką obrazę Kasztellana, któremu dekret ów do żywego dopiekl.

— Nie wadziłoby, rzekł Rektor, trafić wprzód i do przybyłych Panów Senatorów. Zwazalem to nieraz, że kiedy kto z góry o skutku zwątpi, nie tak popiera to, z czémby był wprzód szedł śmiało, gdyby miał nadzieję co zrobić. Dobrzeby więc było, zrazu PP. Senatorom odebrać wszelką nadzieję skutku, aby lżej koło tego chodzili, nie biorąc bardzo do serca zgody zupełnej.

— A tu naprzód, rzekł Brandt, do Xiędza Biskupa Żmudzkiego, trzebaby się udać i zachwiać go, bo najslabszy sędzę, a do niego najłatwiejszy przystęp. Potém do Panów Zawiszów, przez kogośby trafić wypadało.

— Znajdziemy przez kogo i trafim w czas— lecz myśl tylko Ojciec o Chodkiewiczach, abyś im zgody zrobić nie dał—przerwał Rektor— Już ja od siebie insynuację do X. Biskupa

Żmudzkiego i innych, drogą pewną prześlę —
Bierzcie tylko na siebie Kasztellana.

— Chętnie, rzekł X. Jan.

— Mam ja takiego, odpowiedział pocichu Rektor, który jeszcze i Radziwiłłom dumę rozjątrzy dobrze wcześniej, aby i oni ze swęj strony trudni byli. Bo powtarzam zgoda dla nas straszna i sprawie religji nie dobra. Czas do wojny, wojną pożyliśmy już heretyków trochę, wojną ich dobijem. Większość nasza wszędzie, wpływy wielkie. Krzyczćć im wolno i konfederować się, ale co to pomoże, gdy każdy z nich jak *exul* w kraju i obcy.

— Jedno mię straszy, rzekł Brandt pocichu, to położenie JMP. Kasztellana który zależy wielce od PP. Radziwiłłów dla tego niesłusznego processu.

Nie dał mu mówić Rektor i przerwał.

— A do czegoż Jan Karol i Alexander — Oni go strzegą od zgody. Wy zaś starajcie się okazać mu, że się podą w pogardę pojednaniem, że z heretyki zgoda uiemożna jest i zła, że nawet małżeństwo X. Janusza, wedle

praw krajowych, nie już Kościelnych, niepodobne —

To są rzeczy o których wie Kasztellan, i któremi mu uszy nabito, ani wątpię że daleki jest od zgody. Ale wszakże, gdy jak w każdym człowieku przyjdzie zwrót myśli na siebie —

— Jeżelibyście sądzili, że ten zwrót myśli blizki albobyście ku niemu naklonienie postrzegli, naówczas zręcznie wspomnieć wszystko co poniósł i wycierpiał od Radziwillów — a w ostatku —

— W ostatku? spytał Brandt.

— W samym ostatku, rzekł Jezuita pocichu, zbliżając się do Brandta, można by zdala ukazać, podobieństwo znalezienia takich przyjaciół, którzy mu dopomogą do uiszczenia się, tak, że honor jego nie ucierpi.

— Ale kogoż wskazać? spytał Brandt — tak ogromna summa?

— Rozumięcie mnie, pocichu szeptał Rektor, w ostatku i ostateczności, jeśli Zakon będzie miał do wyboru zgodę i wynikające z niej skutki, albo jaką ofiarę — może *indirecte*

Rasztellan weźmie pieniądze i uczyni zapis—
To prócz tego zrobi na umysłach wrażenie—
— Rozumiém—odpowiedział Brandt.

— Nie jest to jednak rzecz, którąby na stół przed wszystkiemi wykladać było można, Ojcie. W ostatku, w konieczności—i to—zdaleka—ostróźnie, nie wyrywając się przed czasem, nie okazując z kąd to pochodzi, przez drugie ręce—mogłoby się.

Brandt powstał z krzesła i kiwnął głową.

— Dość, dość, rzekł—ale rozumiém że tego nie będzie potrzeba.

— I ja życzę tego i rozumiém, że się obejdzie—bez ofiar ciężkich.

— Idę więc do Rasztellana, dodał Brandt.

— Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi, odrzekł O. Garsias wiodąc go do drzwi, a z powrotem bądźcie u mnie i powieście mi co uczynicie.

Za czém wyszedł Ojciec Jan Brandt z celi Rektorskiej, pociągnął się kurytarzem i wyszedł w ulicę, mimo Kościola Ś. Jana.

Zmrok już padać zaczynał, a przecież dostrzegła Jezuickiej czarnój sukni przesuwają-

cć się po murze białym Kościoła, służba Radziwiłłowska stojąca u wrót Kardynalij, przeciwnych Archiprezbiterjalnemu Kościołowi. Śmiechy, najgrawania, szyderstwa poleciały w tę stronę. Nie odwrócił wszakże głowy Jezuita i szedł spokojnie dalej; aż się zwrócił w ulicę Zamkową, gdzie go te głosy nie dochodziły. Dalej już spokojną miał drogę do Kasztellańskiego domóstwa.

Ale niełatwo O. Jan Brandt docisnął się do Kasztellana. Była to wieczorna jego modlitwy godzina. Pobożny starzec odmawiał paciérze przechadzając się po obszérnej komnacie sam jeden, z paciórkami w rękę, z xiegą oprawną w jaszczur z wielkimi srebrenimi kłamrami. Zapukał wrécie długo wyczekawszy się Jezuita i wejść mu dozwolono. Kasztellan ukończył modlitwę, przeżegnał się, położył różaniec i xiegę, kazał podać krzesło Ojcu i sam usiadł przeciw niego.

— No — Ojcie — cóż słyhać? spytał na-przód — To zwykły początek każdój rozmowy! Zapewne nic nowego!

— I owszem, odpowiedział Brandt, jest nowina i ważna.

— Cóż to takiego! kogo się to tycze partykularnie?

— Was Mości Kasztellanie najbardziej, ciacho dodał Jezuita.

— A więc? Co to jest, Ojcie?

— Panowie Senatorowie przybyli posłani od Króla Jego Mości, dla uczynienia tu zgody.

— Już przybyli! rzekł z widoczną niespokojnością Kasztellan.

— Tylko co! — Przed godziną — Wiadomo zapewne jacy.

— O! wiem o tém i mało nie to, co w listach J. K. Mości do nas pisanych się zawięra — odrzekł Kasztellan.

— Dziękujemy Bogu, rzekł Jezuita, że to może zgodę upragnioną sprowadzić.

Kasztellan spójrzał w oczy Jezuitie z podziwieniem i nie rzekł na to.

— Zgoda zawsze pożądana, dodał Ojciec Jan, tém bardziej, gdy między jednego kraju obywatelami i znakomitemi ludźmi, których

nieporozumienia mogą być tak dla wszystkich szkodliwe.

— Zapewne, rzekł Kasztellan, a jednak mamli WMości szczerze powiedzieć, to nie wierzę w tę zgodę.

— Jak to? z udaném doskonale podziwieniem zawołał Jezuita. I Wy nie myślicie Mości Panie, aby ona dójść mogła?

— Bardzo o niéj wątpię.

— Tak to jest! rzekł Jezuita znowu z podziwieniem odgrywaném, gdyby w dialogu.

— Wieleby o tém mówić, rzekł Kasztellan, a napróżno, bo sami wiécie to jak ja, wiécie ile nas obrażono, ile —

— Obrazę znam, rzekł Jezuita przerywając. Co chwila ją jeszcze mnożą językiem i odgrózkami.

— Potém, dodał Kasztellan, nie nie znamionuje, aby JMPP. Radziwiłłowie na *nasze* warunki zgodzili się, my zaś od nich nie odstawiam.

Jezuita spójrzał ciekawie w oczy Kasztellanowi, jak gdyby badał go, ale ujrzał w nich

tylko potwierdzenie wyrzeczonych wyrazów i uspokoił się.

— Zapewne, dodał naówczas — Ja sam żyjąc zgody niewiele miałem nadziei, aby przyszła do skutku. Z heretyki ona nawet dla sumienia niebezpieczna.

— To pewna, rzekł Kasztellan, że jeśli zgoda, związki przyjaźni i stosunki ma przywrócić, tychbym się lękał nawet jako Katolik, gdyż obcowanie z zarażonemi, zaraża i kała.

— Święta prawda, podchwycił Jezuita wzdychając pobożnie. Wszakże, dodał próbując ciągle — powaga J. K. Mości, perswazje Panów Senatorów.

— Nic nie potrafią, żywo i prędko dodał Kasztellan — nic nie potrafią na nas. Szanujęm wolę J. K. Mości, ale rzeczy tyjących się spraw, nasz honor i familję obchodzących rozstrzygać nie można jednym rozkazem. Albowiem to nie dziecinny spór, którego rodzice do pocalunku sprowadziwszy poważnionych

kończą—W sercu tkwią głęboko niedarowane obrazy.

—Zaiste boleśna słuchać o tém i żyć w czasach takich—rzekł Jezuita. Cóż to wszystko przywiodło, jeśli nie jedna wielka omyłka ś. p. Zygmunta Augusta, który się dał ludziom innych wyznań w kraju nagniezdzić i wiarom wszelkim swobodę nadał, gdy był powinien jak pobożny Jagiełło, zastawić się od nich zaporą postrachu. Otoż dziś skutki jednej chwili pohłazania —

—Prawda, macie słuszość Ojciec—rzekł Rasztellan smutnie, wszystko to z tego idzie, żeśmy nie jednej wiary—Panowie Radziwiłłowie nie śmieliby żądać tego związku, aniby tak postąpili, postąpić mogli, gdyby nas łączyła jedność wiary. I zgoda byłaby łatwiejsza i wyrozumienie większe z ich strony. Podzielił się dziś kraj, szlachta, panowie, a dobraż to?—a chwalechnyż to przykład dwóch partij w kraju i nieprzyjaciół między bracią.

—Cóż na to radzić, rzekł Jezuita, albow z heretyki zgoda i przyjaźń, dobrą być może?

Nigdy — póki się nie nawrócą. Bracia to są, prawda, ale w błędzie zostający i do błędu pociągający. Słuszna więc że się od nich do brzy dzielą i rozstępują, aby o zapowietrzonych nie ościierać.

— Poślę, zawołał po chwilce Kasztellan wstając, poślę do PP. Senatorów, z pokłonem dworzanina mojego.

Zadzwonił, wszedł sługa starszy, wydany rozkaz i natychmiast wyjechał w miasto dworzanin do Panów Senatorów.

— A nie sądzicie, rzekł do Jezuity, żeby to gotowość do zgody znaczyć miało. Tak każe uczciwość, a co każe sumienie i honor, to zobaczycie.

Jeszcze z półgodziny rozmawiali, aż spóźniona pora zmusiła O. Brandta ustąpić, bo też i furta klasztorna już się zamykać musiała.

Powróciwszy do klasztoru, prosto do celi Rektorskiej się udał.

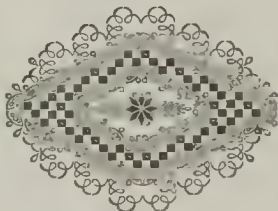
— Niech będzie pochwalony —

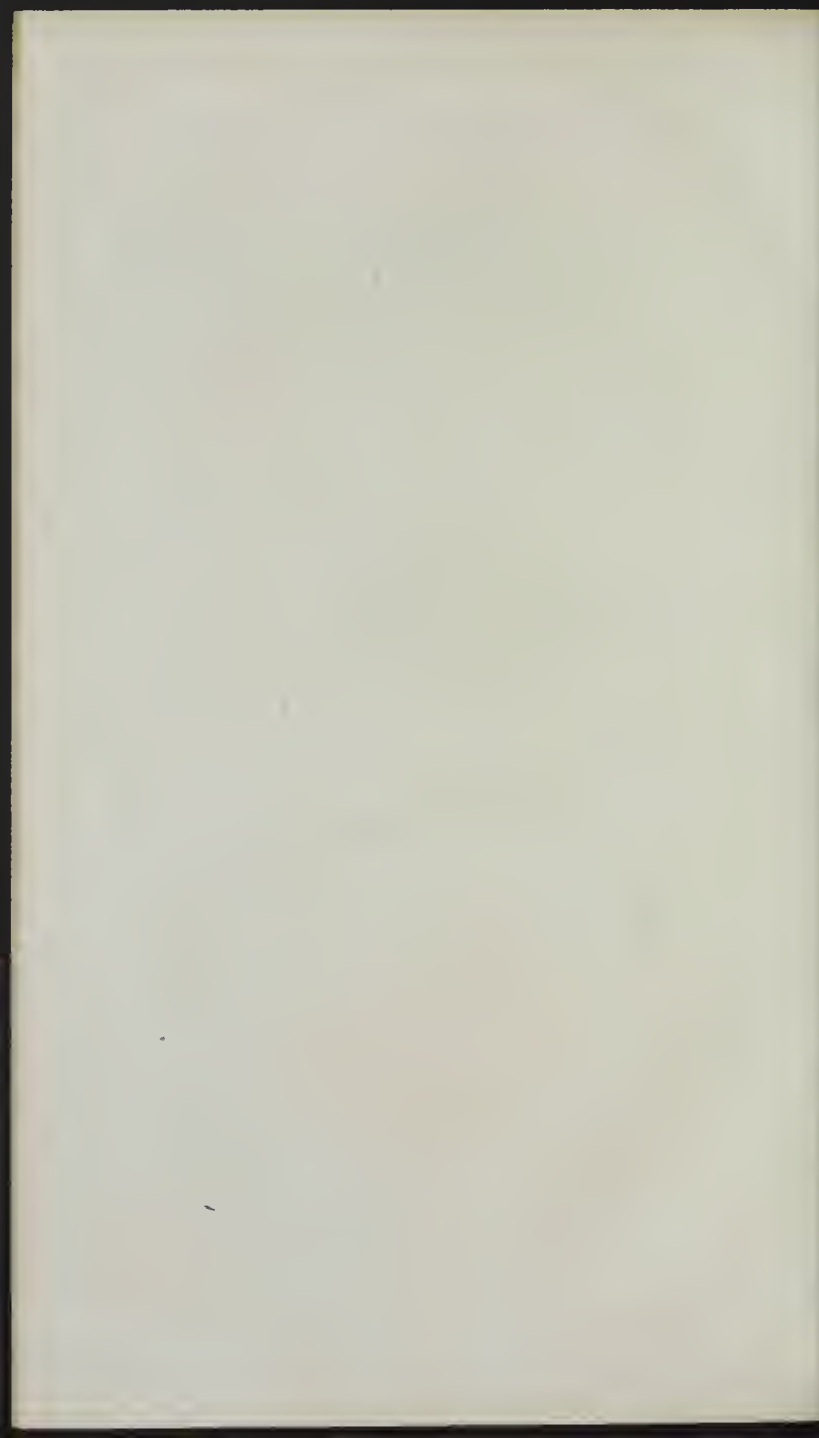
— Na wieki.

— A co słyszał?

— Kasztellan ani chce przypuścić zgody.

— Dobrze! Jutro sam zobaczę JMX. Biskupa Żmudzkiego! Dobrą noc Ojcie. Będziecie u mnie jutro rano — potrzebuję się naradzić.

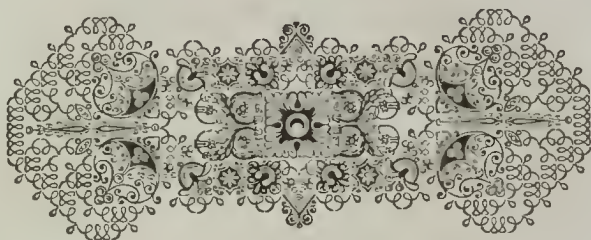




VII.

Posłowie od Króla Jego Mości.





VII.

Posłowie od Króla Jego Mości.



Wróćmy teraz do Panów Posłów Królewskich i przypatrzmy się bliżej ich wyborowi; gdy oni na resztę tych smutnych wypadków, największy wpływ mieć mają.

Głową ich był Xiążę Melchior Gedrojć Biskup Żmudzki, człowiek doświadczony, charakteru łagodnego, spokojny, właśnie jak Lew Sapieha na pośrednika stworzony. Używany on był już nieraz, w podobnych temu wypadkach przytrudnych i zawsze zwycięzko wyszedł. Zaraz po śmierci Zygmunta Augusta w roku 1574, będąc jeszcze Kustoszem Katedralnym Wileńskim, jeździł w charakterze poselskim z innemi do Franeji, do Henryka. Od Henryka zalecony Papieżowi na Biskupstwo Żmudzkie; nominowany Biskupem i łącznie od Żmudzi za listy instalacyjnymi Papieża przyjęty.— Zjawił był się jakiś współzawodnik Woroniecki Proboszcz Geranowski, który też listy jakimiś poparty, o tę infułę się starał; lecz że nie Żmudzin, i podstępnie wymożoném zaleceniem posła Królewskiego popierał się tylko, odpadł od spodziewanego Biskupstwa, na którym Xiążę Gedrojć się utrzymał.— Kilka razy potem Biskup kommissarstwa różne sprawiał, naznaczony w r. 1580, na Trybunał fiskalny Wileński i w r. 1600, na medjatora między Chodkiewiczami a Radziwillami. Pobożny,

wielki Jezuickiego Zakonu protektor; pod jego wpływem zostawał. Łacno było domyśleć się, jaką miał grać rolę tutaj i jakiemu stronnictwu sprzyjał widocznie.

Marszałek Wielki Litewski, Krzysztof Dorohostajski, potomek Moniwidów, przedtém Stolnik, Marszałek Nadworny, Starosta Wołkowyski, Mścibowski, Szereszowski; mężny wojak, rębacz i sławny Koniarz; spowinowacony z Radziwiłłami i Chodkiewiczami, zapewne dla tego właśnie wybrany był przez Króla na pośrednika między niemi. Miał bowiem za sobą Zofję córkę Mikołaja Radziwiłła Wojewody Nowogródzkiego, po Chodkiewiczu Jerzym Staroście Żmudzkim, wdowę. To mu do obódwu domów dawało przystęp swobodny, jako kolligatowi. Zresztą nie był to człowiek na pośrednika stworzony, owszem żołnierz ciałem i duszą, otwarty, rubaszny, odważny i zaprzątłiony końmi i sztuką wojenną, niegami i myśliwstwem; nie zdał się tam gdzie potrzeba było, więcej przebiegłości, rachunku; niż otwartości i męztwa. Stał on w liczbie pośredników, jakieśmy już rze-

kli, z powodu familijnych swych związków, które go zbliżały do obódwóch stronnictw. W materjach religijnych obojętny prawie, nachylał się w duszy ku reformie.

Jan Zawisza dawniej Wojewoda Mścisławski, potem Witebski, gorliwy Katolik, zręczny i wytrawny człowiek, życie swe spędził na kommissarstwach; już to rozgraniczając Kurlandję od Braclawskiego, już obierając na pograniczu sposobne na fortece miejsce, już na korekturach różnych i t. d.

Znał on doskonale ludzi i rzeczy, wiedział jak gdzie postąpić należało, umiał w rachunek kłaść słabości ludzkie i pobłażać im, gdy tego było potrzeba.

Brat jego Jędrzej Podskarbi Litewski również gorliwy Katolik, jak poprzedzający, również zręczny i wytrawny. Na nich to dwóch, cała nadzieja dobrego skutku poselstwa leżała, któremu tylko za przewodnika dodany Dorohostajski, dla powagi Gedrojć. Ani pierwszy jednak, ani drugi, nie mieli być czynni w tej sprawie, nie potrafiliby. Wszystko leżało na Zawiszach, i jakkolwiek głos mieć

mogli i Biskup i Marszałek, nie wiele po nich spodziewać się było można.

Biskup Żmudzki, stanął przyjechawszy w dworku swoim pod Zamkiem, Dorohostajski zajął kwatere w Kardynalij, kędy dla niego wcześniej ją zgotowano, a Zawiszowie w kamienicę swą na Bakszcie zajechali.

Nazajutrz zaraz rano, od Posłów i do Posłów konni i piesi biegać zaczęli, kolassy i poczty przesuwały się tam i sam po ulicach. Niesiono powitania, życzenia, rady — o sprawie saméj słowa jeszcze nie wyrzeczono. — Raniéj nad wszystkich udał się pod Zamek Ojciec Garsias Alabianus, już to aby wszystkich uprzedzić, już aby nie być widzianym, chociaż postrzeżony mógł się być łatwo tłómaczyć, znaną skłonnością Biskupa dla Zakonu i obowiązkami jakie Jezuici dla Pastérza mieli.

Nie zastał już doma Biskupa Rektor, pobożny starzec, udał się był na mszę do Katedralnego Kościoła, o staje tylko położonego. Poszedł i tam za nim Rektor, aby go pierwszy wychodzącego powitał; lecz spotkał już na progu.

Biskup był to siwy, blisko osiemdziesiąt-letni starzec, rzeźwy jeszcze i rumiany, od którego bielejących włosów, zdrowy rumieniec dziwnie odbijał. Wiek nie przycisnął go był widocznie, ledwie trochę pochylił i pomarszczył lice. Oczy siwe świeciły jeszcze z pod nawisłych brew ogniem wyszafowanej młodości, usta rumiane uśmiechały się łagodnie; w wyrazie twarzy całej znać było dobroduszość, i swobodę duszy. Prowadzili go pod ręce dwóch Xięży Kanoników Żmudzkich, jeden Wikarjusz niósł za nim mszałik i brewiarz. Rektor powitał go w kruzganku kościelnym i w milczeniu przeprowadził do domku.

Tu dopiero, gdy Xiąże usiadł w swoim krześle, a Xięża oddalili się, poufalsza zawiązała się rozmowa.

— Wasza Pastérska Mość, rzekł Rektor — przybywacie tu wcale chrześcijańskiej missji, w posłannictwie zgody, z rószecką oliwną — O! jak się ona nam zmęczonym wojną i niepokojem przydała, jak jój gorąco pragniemy! —

— Któżby zgody i pokoju nie pragnął, odpowiedział Biskup—byleby tylko do osiągnięcia były.

Spójrzał na Rektora; O. Garsias potrząsnął głową, spuścił oczy.

— Jak sądzicie Ojczy, da się tu co zrobić?

— Powaga listów Królewskich wielka, rzekł Rektor, wybór pośredników wysokie światło J. K. Mości okazuje. Mógłże im lepszego obrać wodza nad W. Xiążęcą Mość? Ale—

— Jest, ale—

— Jak we wszystkich rzeczach ludzkich.

— Trudności! mało nadziei?

— Trudności wielkie, jeśli wolno o tém przed W. X. Mością mówić, nadzieja zawsze w Bogu!

— Sądzicież, iż którakolwiek strona skłania się więcej do zgody?

— Obie mocno rozjątrzone, obie nienawiścią ku sobie palające — Jeśli kto, to Chodkiewicz dalecy od zgody! P. Kasztellan Wileński obrażony do żywego, Jan Karol Starosta Żmudzki dumny i niedarowujący uraż nigdy

i nikomu, pomimo wielkich cnót chrześcijańskich, wielkiej pobożności, niełatwy do przejednania.

— A Radziwillowie? spytał Biskup.

— Wojewodę znają wszyscy, rzekł Rektor, dusza niengięta, duma niepowściągnięta; względem Króla i władzy Królewskiej, najgorzej usposobiony. Czuje się silnym i mało dba o wyższą władzę, chociaż ją do czasu tylko może przez przyzwoitość szanować zdaje się. Nieprzyjaciel katolików największy, niewyrozumiały, popędliwy — Można się spodziewać się nakłonienia do zgody takiego człowieka; można myśleć pobratać z Chodkiewiczami, gdy świeżo przeciw nim i całemu katolickiemu w kraju stronnictwu pisał się do tej konfederacji?

— Prawda, rzekł wzdychając Biskup, smutna prawda! Ale Bóg z nimi, nie myślimy ich godzić; to zapewne niepodobna doprowadzić do skutku, pragniemy tylko i mamy rozkazanie Królewskie, zapobiedz wojnie bezprzykładowej między swymi, rozlewowi krwi

łaniebnemu, gorszącemu, między braćmi!
Niechby to zdali na Sejm, na Króla!

— Wasza Pastérska Mość, wiesz o wojennych przygotowaniach.

— Słyszałem i wzdrygam się rzekł Biskup. *horrenda!* Blisko sześć tysięcy wojska zebrano dla jednego sporu, gdy dla obrony kraju połowy tego wyprosić by tysiącznemi uniwersały trudno!

— I Panowie Chodkiewiczze, przystojną też ilość mają i dobrego żołnierza. Potrafią się opierać.

— Bodajby tego nie było potrzeba. Mam zawsze nadzieję, iż pomimo groźnej postawy stron obu, do zwarcia się nie przyjdzie. Pojmą Radziwiłłowie ohydę napaści, ohydę takiego przykładu, pomiarkują, jakimby okrzykiem zgrozy przyjął kraj cały wieść o wojnie!

— Ależ zewsząd ciągną wojska?

— Nic to jeszcze Ojczy, rzekł Biskup. Kilka dni wiele odmienić może; w Bogu nadzieja i w tém, że to pierwszy przykład, że nim się targnie brat na brata, zadrżać musi w sercu swoim jak Kaim. Przed samém starciem się,

otworzyć się mogą serca i zachwiać męztwo;
do ostatka potrzeba mieć nadzieję!

— Nadzieję zupełnej zgody? spytał Garsias,
zupełnej zgody z heretyki?

— Pojednania w tej sprawie tylko i zawieszenia jęj, *ad decisionem Regiam*, odpowiedział Biskup. Co się tycze zgody z heretyki, to rzecz druga.

— Lecz pomięszaly się tu tak sprawy, odrzekł Rektor, iż je trudno rozeznąć. Stronnictwo Wojewody—konfederacja cała, Chodkiewiczów prawowierni Katolicy. Nie o Zofję tu Słucką chodzi, ale o swobodę sumienia.

— Tego, Ojczy, my, ani gdyby i sam Król tu przybył nawet, nie potrafiemy zatrzeć i unikezemnić. Zbyt na nieszczęście głęboko wrosło złe ziarno i chwasty poszły szeroko, nie wyplenisz ich tak skoro —Powierzmy o tēm staranie Bogu!

Walczyć o swobodę sumienia, jak oni zowią, czyli prawo gorszenia i psowania ludzi, będą jeszcze i będą długo różnowiercy. Nasza rzecz nie dać się w krwawą walkę, sporom przerodzić.

— Bodajby choć to dostąpioném było westchnąwszy rzekł Rektor! Kiedyż W. P. Moś, rozpoczniecie dzieło swe?

— Jak skoro spoczniém nieco. Samym nam pilno, na sercu leży święty obowiązek. Zdaje się jednak iż, do przybycia Jana Karola Starosty Żmudzkiego, kroku naprzód postąpić nie można. On jest prawą ręką Kasztellana, to coby się tu bez niego zrobiło, odrabiaćby się potém mogło. A nawet wątpię, czyli Kasztellan, przystąpiłby do traktacji, związany umową, z synowcami, iż bez nich począć nie niéma. Tym czasem rozpatrzymy, rozsluchamy się, namyślim.

Ojciec Garsias spójrzał w okno i ujrawszy wysoko już podeszłe słońce, pożegnał Biskupa, któren wziął różaniec w ręce i znowu modlić się zaczął.

Gdy się to dzieje w dworze Biskupa Żmudzkiego pod Zamkiem, Marszałek Litewski Dorohostajski, śniada w Kardynalij z Wojewodą sam na sam.

Przed niemi srebrna z połówką winną wazka i kubki złociste. Oni naprzeciw siebie w krze-

słach — Wojewoda zmarszczony, zamyślony, Marszałek jak w całym życiu swobodny, wesół, rubaszny. Po postawie jego poznasz wojaka, którego inaczej życia nie rozumieć, nie pojmuje, tylko ruchem, działaniem, czynnością nieustanną. Wysoki, silnie zbudowany, trochę łysy, rumiany, z oczyma niebieskimi, rzymskim nosem, usty nieco szerszymi, czołem podniesionem; Dorohostajski ma wszystkie ruchy żołnierza, wyraz odwagi nieustraszonej w twarzy.

— Wićcieście przyjechali gwałtem nas pogodzić? rzekł Radziwiłł po długiej rozmowie.

— Gwałtem nie gwałtem, ale pogodzić koniecznie, zawołał Dorohostajski zaciągając czołba nastrzępionego na wierzchołku głowy. Bo, kiego djabła zréć się braciom, synom jednej matki i przeléwać krew chrześcijańską, gdy niewierni i panowie sąsiedzi proszą się aby ich szablą nasza nauczyła rozumu! Tać by to, cały świat wskazywał nas palcami, jak głupców, z pozwoleniem, taćby to raz wszczęte zamieszanie, obudziło uwagę panów sąsiadów.

Nie omieszkaliby skorzystać z domowej wojny i wybyście się tu bili, o Xiężnę, a oni by Xięztwa wasze pobrali tym czasem. A jakby się rozegrali, gotowiby i wasz Słuck z Kopylem do taszki schować, i Birze i tam dalej i i ten sam Kopyś, co tu tylego licha nawarzył. Nie dajcie z siebie obeym żartować, plansnijcie tylko w dlonie, i jakoś się to ułoży. Wy sobie Ewangeliicy, oni sobie Katolicy, wy swoją drogą, oni swoją, a jak przyjdzie na wroga, do kupy wszyscy i razem.

— Ślicznie prawisz, odrzekł Wojewoda, szkoda tylko, że to są mary próżne. Gdybyż to można im wmówić, aby sobie papiści papiściami, a my po swojemu być mogli! Ale nie, chce się im obłąkanych nawracać! tak prawią, gdy tym czasem, sami ślepi bałwochwalstwa swojego nie widzą.—Ja, nie jestem tak daleki tak trudny do zgody, jakim mnie nieprzyjaciele mianują. Wiele mam uraz do PP. Chodkiewiczów, ale na słuszne warunki zgody, podam rękę, niech tylko uczynią czego ja chcę!

— A toć niewielka sztuka! Wojewodo, każdy tak się zgodzi! I Marszałek zaryhotał

wesoło na całe gardło. Chciałbyś żeby nie nie ustąpić i mieć zgodę w kieszeni!

— Ja nie ustąpić nie mogę!

— Takim sposobem nie Xiąże nie zrobisz. Trochę z téj strony, trochę z tamtéj, tu obciąć, tam obciąć, to się sprzedaż możecie. Wy magać zaś, aby ktoś wszystkiego, a Wy nie nie ustąpili, to znowu zawiele, Wojewodo. Chybabycie z nożem na gardle Chodkiewiczom staćli, toby taki absolutny warunek przyjąć mogli. Ale to potém o tém. Teraz ja u W. X. Mości, nie poseł J. K. Mości, ale dobry druh i gość, dajmy tym waśniom pokój! Musicie się pogodzić. Wiercie mi drżać się dobrze to tylko z wrogiem, a ze swemi podąsawszy się, naprychawszy, nabrykawszy, zawsze najlepiej kończyć zgodą. I potrzeba, potrzeba koniecznie. I tak będzie.

— Łatwy z W Mości Baronie prorok.

— A z W. X. Mości ciężki niedowiarek. Wiercie tylko w zgodę, a będzie zgoda. I czego, do tysiąc koni, macie się szarpać? Hm? O Xiężnę Zofję abo raczej o ję Xięztwa? Że dobrego stada Xiężna to pewna, że warto,

aby sobie trochę włosów narwali dla niej, ani słowa, ale żeby znów od czubów przyszło, do zdobycia szabel i zapisywania wojsk, jakby na zawojowanie prowincji! Wybaczajcie! Dalipan, żeby miała jeszcze z jedno Xięztwo i jeszcze jedną mitrę starożytną! tyle pocziwój krwi dla kawalka ziemi i jednej białogłowy, (jakich z przeproszeniem tysiące po białym świecie) tyle krwi i hałasu nie warto! nie warto!

— O! jakże to WMPanie Marszałku lekko nas szanujesz!

— Wybacz W. X. Mość, wojakowi staremu, niezwykle do waszój polityki! U mnie co w myśli, to i na języku, cała prawda. Całą pierś nastawiam na wojnie nieprzyjacielowi, całą duszę pod przyjaciół wyléwam. A na com barwić i stroić to, co i bez stroju dobre? Nie urażajcie się W. X. Mość.

— W głowie ani w sercu nie powstała obraza, odpowiedział Wojewoda, tak mi to tylko przykrém było, iż WMość lekko nasz spór uważacie—Ale wola Wasza, każdy po swojemu widzi.

— I Wy sami Xiąże Wojewodo dodał Marszałek, chłodną krwią wzięwszy na rozważę całą rzecz przyznacie mi że dalipan, bić się nie ma o co!

Wojewoda zamilkł, P. Marszałek poszedł do okna. Po chwili popatrzawszy, ruszył się z pokoju i zawołał:

— Prawdziwój krwi tureckiej! prawdziwy Turek!

— Co? kto? spytał Wojewoda podnosząc się —

— Najrzałem turka, siwaka — oto tu u wrót W. X. Mości, muszę wysłać na zwiady czyj.

Wojewoda wyjrzał także oknem.

— Wasz własny, rzekł spokojnie.

— Wasz Wojewodo?

— Nie, Wasz Panie Marszałku!

— Mój! Nie mam takiego! mylicie się, ani tu, ani w mojej stajni Dorobostajskiej i stajni, podobnego nie ma. Są innój maści, i innój krwi.

— Ale to Wasz koń, dorzucił Wojewoda.

— Juścić ja to, z przeproszeniem, wiem lepiej, że nie mój odparł, marszałek.

—Wybaczcie, to Wasz własny!

—Żarty stroicie Wojewodo!

—Szczerze, Wasz! bo go wam ofiaruję!

A juścić przyjmiecie?

Marszałek zadumał się.

—Jak będzie pokój i zgoda, a ja przestanę być posłem J. K. Mości do Was, przyjmę ten piękny podarek. Teraz — jeszczeby głupcy gadali, żeście mnie podkupili.

—Jednym koniem! rzekł smiėjąc się Wojewoda. Kaźcie go poprowadzić do Waszėj stajni. To mizerja i oczu nawet nie zwróci! Nam miło takiemu jak Wy miłośnikowi koni, zrobić podarek z prawdziwego turka.

Dorotostajski wziął za czapkę i miał się do drzwi.

—Serdeczne dzięki! pozwólcieź mi go zaraz obmacać, bo mi już aż swędzi, pójść obejrzyć siwosza, i dalej nie wytrzymam.

Wojewoda zawołał Koniuszego, a Marszałek z nim razem szybko zszedł ze wschodów, zapomniawszy w téj chwili o wszystkiém, o listach królewskich, swojém poselstwie i zajęściu Chodkiewiczów z Radziwiłłami.

My spójrzym jeszcze, co się dzieje u PP. Zawiszów, w ich dworze na Bakszcie.

Dwór ten murowany, niewielki, do oberwanój góry przyczepiony, niebielony, z obu stron do murów miejskich przytykający; wyglądał teraz na gospodę. Przed nim stały wozy, w części wyładowane, w części jeszcze pełne, kręciła się liczna służba, której ciasno było we dworze samym. Konie, których szczupłe nie pomieściły stajnie, pasły się nakryte kapami, przy podróżnych za wozami przypiętych płóciennych żłobach. Ogień naniecony był nawet przy murze w podwórku, a wkoło siedzieli i leżeli woźnice i pacholki.

Porządniejszych cztery izby na górze zajmowali bracia, PP. Jan i Jędrzej Zawiszowie. Szczupło im tu było i dość niewygodnie, chociaż zwyczajem krajowym, wszystko z sobą wioząc, mieli czém i podłogi wysłać i mury zawiesić.

Wilgotne jeszcze mury, poczepione na nich osłoniły makaty, wyrabiane w bogate ze złotem i srebrem wzory, podłogę z cegieł tylko ułożoną, zasłały grube, twarde kobierce

tureckie i perskie. Na ławach ciesielskiej roboty rozwieszono także kilimki różnobarwne a stoły sosnowe proste, aż do dołu spadające sukna szyte zakrywały. Tym sposobem izby przed chwilą nagie, teraz zdawały się ozdobne, bo całe osłonięte były od sufitu poczawszy, któren jedyny tylko świadczył, czém to pomieszkание wczoraj jeszcze było. W dwóch izbach narożnych usłano łoża Pannów braci. Na prawo starszy Jan na lewo Jędrzej i oba spoczywali na złożonych zydłach przysłanych garścią siana i skórą niedzwiedzią. Skórzane poduszki pódgłową, futrzana opona na wierzeh.

W kominach i piecach wrzał nieustanny ogień, bardzo potrzebny w ochłodzoném domóstwie. Średnie dwie izby przeznaczone były, jedna na jadalną druga dla przyjęcia gościa. Ta ostatnia największa.

Wschodzące słońce uderzyło w okna dworu na Bakszczie, i Wojewoda z Podskarbibm już byli na nogach, już sięgłośno modlili, poczynając dzień jak zwykle dawniej bywało, od Godzinek i pobożnych pieśni. Nicktórzy

z starszych sług, także z różańcem w rękę, w dolnych izbach piérwociu dnia P. Bogu oddawali. Tylko pacholćkowie i nizsza służba, ranićj i krócićj pomodliwszy się, na nogach już była. Minęła godzina modlitwy, Podskarbi poszedł do brata; zastawiono śniadanie, po którém udać się mieli oba do kościoła Bernardyńskiego na mszę. Tu taka przy polewce, ciągnęła się rozmowa.

— Miłościwy panie bracie, aby tylko nie darmo.

A choćby i darmo, kiedy tak się J. K. Mości podobało nas do tego wezwać. Będziemy czynili co podolamy, a reszta w woli Bożej — rzekł starszy Jan Wojedoda Witebski.

Przybiegał tu wczora znajomy nam ojciec Brizius Jezuita, W. Mość już spać pono, alboś się zaparł na modlitwy, bo już było późno; jam go sam przyjął.

— Mówił co?

— Wiele i strasznych rzeczy a wedle niego, ani podobieństwa niéma, aby tu się co zrobiło. Rozjątrzenie w najwyższém stopniu, wojna nieuchronna.

Jan potrząsł głową. Wtém wszedł dworzanin oznajmując Pana Krzysztofa Zenowicza Wojewodę Brzeskiego.

— Tak rano! rzekł Jędrzej; i wyszedł na spotkanie.

Wtoczył się otyły, rumiany, sapiący, na lasce z zlocistą galką podparty, Pan Wojewoda Brzeski.

Na twarzy jego widać było pewien rodzaj pomieszania, któren szkodził ogólnemu wyrazowi fizjonomji, malującój człowieka gadatliwego, ruchawego, czynnego. Takim był w istocie Wojewoda, lecz ranne odwiedziny i myśl jak one przyjęte i uważane będą (gdyż go powszechnie znano jako wielkiego partyzanta Radziwillów) omroczyły zawsze wesołe oblicze, na ten raz tylko osłonięte niezwykłym pomieszanieniem.

Zaledwie we drzwiach się ukazał Wojewoda, już usta otworzył; zaledwie mówić począł, już ufny w wymowę swoją, odzyskał zupełną swobodę, przytomność i wesołość.

— Witajcie Posłowie zgody i pokoju! zawolał, witajcie pożądani goście w stołicy!

Otwartém sercem i rękoma przyjmujemy Was, oczekiwaliśmy jak kanie dészczu! Witajcie Panie Wojewodo Witebski i Wy Panie Podskarbi—Jakże się podróżowało, jak się dojechało, jak się spało!

— Wyśmienicie! odpowiedzieli bracia.

— Pilno mi było WMMościów powitać, i dla tego chociaż zaledwie ósma może na półzégarzu i godzina nie do odwiedzin, pośpieszyłem piérwszy miłych gości zobaczyć.

— Wielceśmy wdzięczni? Siadajcież! Panie Wojewodo!

— Choćbyście nie prosili siadę, bom się zadychał idąc po schodkach—Co tam nowego w Warszawie, Król JMość?

— Zdrów dzięki Bogu.

— Pan Maciejowski *in partibus* Biskup Wileński?

— Już się zrzekł Biskupstwa —

— W nadziei Krakowskiego —

— Być może.

— Dobra zamiana! No! a będzie li tu u nas zgoda?

— Spodziewamy się — rzekł Jędrzej Zawisza — listy Królewskie —

— Wielce je wszyscy szanują — odpowiedział Zenowicz, ale mało kto ich słucha! To biéda!

— Większa nadzieja w perswazjach Waszych, w pośrednictwie przyjaciół. Chodkiewiczze szaleją. Co im się porywać, jak brać się przeciw Radziwiłłom! Gdzie siły, gdzie bogactwa odpowiednie! Ruina dla nich, ruina dla kraju, przykład fatalny! nieszczęśliwy, okropny!

— Ależ oni nic nie poczynają?

— Na co było łamać umowy!

— Kiedy umowy przeciwne prawu?

— Prawo da się nagiąć różnie — Nie pierwszy to przykład. Na cóż było obiecywać, kiedy to było bezprawném.

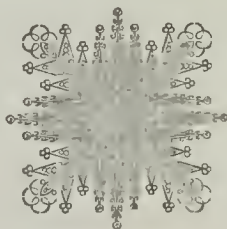
— W tém ich wina; ale i PP. Radziwiłłowie, poco dowiedli rozjątrzeniem, processem, do takich ostateczności?

— Teraz uiéma sposobu innego na dobry koniec, chyba niedopuszczyć wojny. Wojna ostateczną zgubą dla kraju! wołał P. Zeno-

wiecz. Już pogodzą się czy nie, byleby się nie pobili tylko!

— Zdaje się, że do tego przyjść nie może, rzekł Wojewoda Witebski; na toć my tu przyjechali, aby temu zapobiedz; i spędziewamy się, iż zacni poważnieni pomiarkują wczas, co za wagi krok, wojna domowa. Upamiętają ich listy Królewskie i przyjaciół perswazje.

— Daj Boże! odpowiedział wzdychając Zenowicz! a westchnienie jego i uczuciem i wysokiem i wschodami Baksztowskiego dworu tłumaczyć było można.

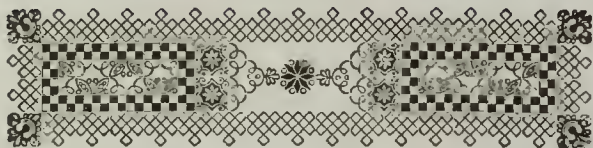


VIII.

Przygotowania wojenne.

Xiężna.





VIII.

Przygotowania wojenne.

Xięzna.



DNIA pierwszego Lutego, okolice Wil-
na i miasto same, przybrało posta-
wę zupełnie wojenną; ktoby zdaleka tu przy-
jeżdżał i okoliczności spełna nie wiedział, po-

myślałby że te hufce gotują się odeprzeć najazd niewiernych pogan, lub napad sąsiedniej Rusi. Po przedmieściach snuło się żołnierstwo przybyłe tłumami, powiewały rozwite proporce, hasały wyrywające się konie, przechodzili różnobarwnie ubrani, różnemi języki mówiący, żołdacy z Podola, z Kurlandji, z Litwy, z Rusi, z Polski.

W samém mieście wszystkie niemal gospody zajmowali starsi, Panowie Rotmistrze, Półkownicy, towarzysze.—Szczekały szable, buczały bębny, słychać było śpiewki wojskowe dodające ducha pospolitemu ludowi. Ale na ten raz śpiewający, musieli je dziwnie wykręcać, aby zastosować do okoliczności. Mnóstwo bowiem pieśni tego rodzaju, klęło Turka, łajało Moskwę; ale żadnej gotowej nie było, przeciw—Chodkiewiczom i braciom będącym przy nich. Duch więc prowincji tylko, wysiłał się, w obelżywych dwuwierszowych śpiewkach przeciw Żmudzi, Litwinom, Mazurom, Rusi i t. p. I pozór tego wojska, którego główny obóz był na Łukiszkach, a reszta półków, rozsiadłona po okolicy i przedmie-

ściach, pozór jego dziwny był. Doborny lud, ale każdy z innego kąta, każdy w innym stroju, z inną bronią i co największa z innym duchem. Było bowiem i Katolików w wojsku Radziwiłłowskiem niemało. Ci szli cicho, z spuszczonemi głowami, sami nie wiedząc, jak sumienie z interesem pogodzić; gdy towarzysze broni, zabićrali się do wyprawy; uważając ją jako sprawę konfederacji, jako pomstę na katolikach, za ich ucisk na różnowierców wywierany.

Wojsko Radziwiłłowskie sklejone z różnobarwnych tłumów, którego jednak główną podstawą było, blisko czterech tysięcy Rusi, nadesłanej przez XX. Ostrogskich; sierało się w okolice, przedmieścia i do samego Wilna, nie razem, ale częściowo i różnocozasowo, ostatnich dni Stycznia i pierwszych Lutego. Zaludniło się, zakwitło i ożyło miasto którego tylko najwłaściwsi mieszkańcy z trwogi i obawy pochowali się ustępując z ulic i rynków szumiącym przybyłcom. Magistrat i Rada po niefortunnym owym poselstwie do Wojewody, nie śmiali już występować raz drugi. Dozwol-

lili wojsku zajmować gospody i słowa nierzekli. Słuszna jednak wyznać, że odłożywszy na stronę nadużycia nieuchronne, umyślnych przynajmniej nie było i Wojewoda hojnie żywiący zgromadzoną tłuszcę, nakazał żołdakom, jak najspokojniej i najłagodniej z mieszkańcami się obchodzić. — Niewiele jednak zaufania miał ogół, w obietnicach pokoju i zapewnieniach nienaruszania własności, Kucpy, Katolicy mianowicie, z wielkiego strachu pozamykali sklepy i kramy, pochowali towary, przygotowali ciężkie do drzwi swoich zapory, oczekując jak wybawicieli Chodkiewiczowskich, których dotąd nie było, chociaż codziennie ich się spodziewano. Tym ostatnim w samém mieście i w bliskości kamienicy Starosty Żmudzkiego, rozpisane i najęte kwatery, które tém łatwiej ustąpiono, że żołnierze Katolicy, stanowić mieli niejako załogę przeciw heretykom, strasznym dla mieszkańców.

W Chodkiewiczowskiój kamienicy przygotowania wojenne ukończone już były, strzelnice wyrąbane, bramy umocnione, słabe mury

podwojone, okna zabite, miejsce uczynione dla armat, oczyszczony plac dla żołnierza, mającego po większej części pomieścić się wewnątrz. Pomyślano nawet o skupieniu zapasów żywności, o zapewnieniu wody, na przypadek oblężenia, gdyż szturm prawie był niepodobny w ścieśnionej ulicy. P. Barbier obejrzawszy wszystko dokoła, decydował, iż ze spodziewaną załogą, bronić się można Radziwiłłowskim, jak długo zapasów żywności i amunicji stanie i śmiejąc się dodawał, że z wiérzchołka kamienicy, wystrzela jak wróbbli do jednego wszystkich protestantów, którzy się tylko pomkną bliżej.

Całe jednak to przygotowanie, dla tych nawet, którzy je czynili, którzy się z myślą tą oswoili, miało w sobie coś tak dziwnie niezwykajnego, iż w oczach rozsądnych ludzi, zbliżało się do sennego marzenia. Wypadek to był z rzędu takich, którym współcześni niepomrotnie się dziwią, a którego odległa przyszłość nie pojmuje, czasem im wiary nie daje. Gdzieindziej, nie pospolitszego nad to zapewne, lecz w tém Wilnie, w którego

wnętrznosciach, ciągle wrzała mała walka i bój, to nagle wezbranie tak wielkie, było szczegółnością, nie mającą przykładu w dawnych dziejach i zdało się na oko, bez przyczyny ważnej.—To też, pomimo przygotowań tak wielkich, pomimo widocznej stopy wojennej, dwóch stronnictw, wielu jeszcze nie wierzyło i wierzyć nie chciało w wojnę domową.

—Kłócić się mogą, kłócić się zawsze od wieków i kłócić się będą do skończenia świata, a kto wieć czy i na Jozefatowój dolinie, o precedencją nie posporzą; ale żeby bić się mieli — to być nie może; mówili niedowiar-kowie.

Dnia trzeciego Lutego oznajmiono Panu Kasztellanowi Wileńskiemu, iż Jan Karol z działami i wojskiem, już jest tylko o jeden dzień drogi od Wilna. Przywiózł tę wiadomość P. Mikołaj Chaniec Marszałek Dworu, przybyły z ulubionym dworzaninem Jana Karola Tomaszem Dąbrową. Kasztellan, ustąpiwszy domu swojego na żołnierzy przybywających, przeniósł się zaraz do kamienicy Chodkiewiczowskiej na Zamkową — Tu także mie-

ścił się Alexander brat Jana Karola, naówczas jeszcze tylko Starosta Borysowski (poźniej Wojewoda Trocki). Wreście co było najlepszego pomieszkania oddano Wojewodzie Sandomirskiemu Jerzemu Mniszekowi, który zaproszony przez Chodkiewiczów, nie odmówił osobistego przybycia, acz bez żadnego pocztu—z kilką tylko dworzan.

Xięźnėj Zofji zmieniono pomieszkanie, usuwając ją dla bezpieczeństwa większego, w sam głąb domu, z kąd już nie prócz wewnętrznego ruchu i przygotowań przestrasających ją niemało, widzieć nie mogła. Łatwo pojąć co się działo z Xięzną dla której brak wieści o wypadkach, o okolicznościach, okropnym domysłom i czarnym marzeniom zostawiał szerokie pole. Przy niej, wkoło niej wszyscy, wszystko było milczące, przestraszone, na nią wszyscy patrzyli jak na przyczynę złego, sami PP. Chodkiewicze mimowolnie, czuli w sercu niechęć ku sierocie, nad którą tak ciężka była opieka. Najbliższa osoby Xięźnėj, Pani Włodzka Ochmistrzyni, kobieta sztywna, twarda, zimna, i rzą-

dząca się tylko najściślej danemi rozkazy; słowa pociechy nie wyrzekła nigdy. W czém była powinna, posłuszna, z resztą obojętna i surowa, lękała się na włos przestąpić, danych sobie instrukcyj, ceniąc wysoce miejsce i lękając się go utracić. Panny służebne Xiężnej, młode, przelękłe, a prócz tego oddzielone od niej, położeniem swém, nie ważyły się być powiernicami. Ona więc sama jedna zcierpieniem swém, z myślami, z bojaźnią kobięcą w pół, w pół dziecięcą, bez pociechy, bez przyjaciela bez wieści o wypadkach, żyła okropném życiem, które na pozór mając wszystkie warunki szczęścia, w istocie było męczarnią.

Zrana modlitwy — samotna po koinnacie przechadzka, krótka z Panią Włodską rozmowa, obiad, robota u krosien i znowu modlitwa i długi wieczór i długa noc nieprze-
spana.

A wśród tego, wszystkie mary wojny, morderstw, zabójstw, przychodziły targać młode sercem sieroty, wojny która o nią i z jej przyczyny począć się miała, wojny, która

codzień zdawała się bliższą, groźniejszą, której terminem poczęcia, był dzień urodzin Xiężnej! Na każdy trzask zamykających się wrót, na każdy chrzest czyszczonej zbroi, brzęk pałasza, głośniejsze wołanie, zdało się Zofji, że idzie ku niej ta wojna okropna. Widok przyborów wojennych nabawiał ją przestachem, drżeniem, obłąkaniem; a z okien nowego mieszkania nic innego nad dziedzińce ufortyfikowane i fortyfikujące się, widać nie było. Często wśród nocy, budziła się słysząc stąpanie żołnierzy, odgłosy ozywającej się straży i z bijącym sercem, cisnąc krzyż matki do piersi, czekała godziny całej, wystrzału, któren (zdało się biednej) co chwila miał się dać słyszeć.

W takiej to niepewności i strachu, żyła Xiężna; a kiedy podarkiem, słodkimi słowy, chciała na Ochmistrzyni wymusić wiadomość o rzeczach, o wypadkach, najczęściej tylko dowiadywała się dzikich wieści o Radziwiłłach, które ją drażniły, którym wierzyć nie mogła; bo oczewiście wymyslane były i skierowane, aby zachwiać w niej znaną skłon-

ność w dziecinnych latach powziętą ku Xięciu Januszowi.

Rasztellan Wileński rzadko się pokazywał u Xiężnej; po ostatniej rozmowie, ledwie parę razy widział ją i to krótko. Dopiero dnia trzeciego Lutego, kazał się oznajmić nad wieczorem.

Xiężna oczekiwała go niespokojna, modląc się w duchu, i nie wiedząc co z sobą pocznie. — Po półgodzienném przeciągnioném oczekiwaniu, ukazał się Rasztellan, twarz jego była wypogodzona, oblicze swobodne, jak gdyby w wilją zgody, nie dniem przed wojną. Powitał Xiężną czule, troskliwie dowiadując się o zdrowie, którego niedostatek widoczny był na twarzy.

Zofja odzyskała przytomność i odwagę.

— Stryju, odpowiedziała, nie pytać mnie czym zdrowa, ale czy jeszcze żyję potrzeba?

— Jakto? dla czego? przerwał Rasztellan jestże Wam tak źle na świecie!

— Przynajmniej ciężko, o! ciężko okropnie. Patrzcie sami, na co oczom kobięcym, co dzień, co godzina kazano poglądać, o czém

myśleć muszę. Dokola mnie wojna, oręż, postrach! Gdzie spojrzę żołnierze, wojsko, działa, co posłyszę to straszne i przerażające! Powiedźcie mi Stryju, jakże mogę być szczęśliwą, spokojną, jak nie mam niszczyć? A gdy pomyszę jeszcze, żem temu wszystkiemu przyczyną — ja! A! Stryju, to nad siły dziecięcia! nad siły moje! Na Boga. —

— Ależ Xiężno, nie lękajcie się tak bardzo. Nic Wam się nie stanie!

— Alboż ja się lękam o siebie? odpowiedziała Zofja. Ale ta wojna, ta wojna!

— Jeszcze się nie poczęła i my jój poczynąć pewnie nie będziemy.

— Dla czegoż takie uzbrojenia?

— Na przypadek — dla obrony, odpowiedział Kasztellan. Widząc opasujące dokola Wilno wojska Radziwillowskie, trudno abyśmy i my nie pomyśleli o sobie.

Xiężna zamilkła, potarła ręką po czole i spuściła oczy.

— Pamiętacie ostatnią naszą rozmowę, rzekł po chwili Kasztellan.

— Nie mogła mi wyjść z pamięci, cicho

odpowiedziała Xieźna — i jeśli chcecie ją odnowić. —

— Nie myślę, ani Was pytać, ani Was prosić, ani przynaglać, do niczego, chcę Was tylko jeszcze raz, w interesie sumienia Waszego objaśnić. — Jeśli do Was przyjdzie, wszystko słowem jedném rozwiązać, nie chcę już wiedzieć, co wyrzeczecie. Wola Wasza Xieźno, macie słuszne lata, macie poznanie, nie jesteście już dziecięciem — Robcie co i jak się Wam podoba. Dotąd jednak jam Wasz opiekun, a piérwsze opiekuna staranie, o sumienie; piérwsza myśl być powinna uchronić od grzechu. Przyjmijcie więc moją przestrożę. Małżeństwo projektowane z Xieciem Januszem, bez osobnego zezwolenia głowy kościoła naszego, Papięża, które się daje bez błogosławieństwa (zważajcie to dobrze) małżeństwo to, jest grzechem, jest prawami kościelnemi wzbronioném i prawem naszym Litewskiém uznaném za nieważne. Słyszeliście zapewne już o tém, ja dziś tylko, mam za obowiązek sumienia, powtórzyć Wam to raz jeszcze i przypomnieć. Nie wymagam

od Was nie, nie pytam o nie; lecz zechcecież, bez zezwolenia Papięzkiego, gdyby przyszło do jakichkolwiek bądź nieprzewidzianych układów, zechcecież zawrzeć te śluby?

Nie zastanawiając się Xiężna powstała i odpowiedziała.

— Bez zezwolenia, nigdy — Zezwolenie jednak, dodała zaraz, może być dane? Kasztelan mimowolnie wzruszył ramionami —

— Zezwolenie, bez błogosławieństwa. Xiężna spuściła głowę — Ktoś do drzwi zapukał.

— Oto jest Wielebny Ojciec, Weljamin Rutski Archimandryta Monastéru Ś. Trójcy, ten Was dostateczniej objaśni i com mówił potwierdzi.

Oczy Xiężnej na otwierające się w téj chwili drzwi obróciły. Wsunął się niemi, bladéj twarzy, pokornego układu, w sukni Zakonu Ś. Bazylego Wielkiego, Mnich. Był to sławny Weljamin Rutski.

Xiężna podeszła ku niemu i pocałowała go w rękę, on ją pobłogosławił w milczeniu; potém usiadł.

— Wezwalem Was Ojczy, rzekł zaraz Ka-

sztellan, abyście potwierdzili słowa moje przed Xiężną. Małżeństwo z X. Januszem, nie jestli przeciw wyraźnym prawom i zakazowi Kościoła dla blizkiego pokrewieństwa?

— Tak jest, odpowiedział, i zawierający takie śluby, podpadają surowej karze Kościoła; sam ślub choćby go dawał duchowoy najwyższego stopnia, nie ważny.

— Lecz—Xiężna poczęła i nie śmiała dokończyć.

— Lecz w pewnych przypadkach, odgadując myśl dokończył Weljamin Ruski, Kościół dozwala takich małżeństw, chociaż ich nie błogosławi.

— Nie błogosławi! powtórzyła Xiężna i oczy utopiła w ziemię.

Jeszcze kilka słów powiedzieli Kasztellan i Archimandryta, ale Zofja więcej oczów nie podniosła, nie spójrzała, nie wyrzekła słowa—pogrążona w smutnych myślach, milczącym ucałowaniem ręki Kasztellana, ukłonem zimnym Archimandrycie, pożegnała odchodzących.

Zaledwie drzwi się za niemi zamknęły, upadła na krzesło i płakać zaczęła rzewnie —

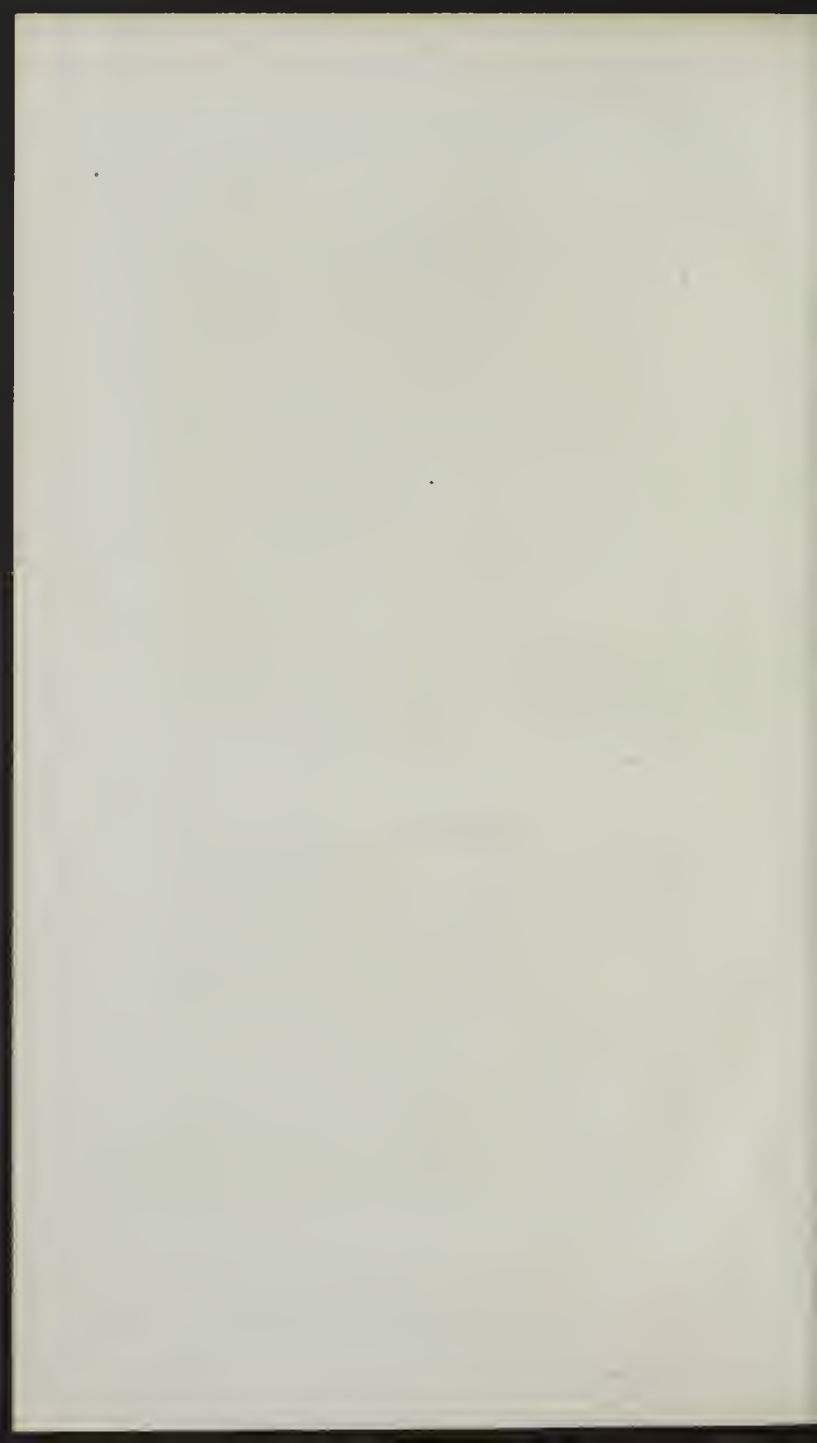
— A więc nigdy razem, nigdy z błogosławieństwem Bożém, nigdy nie będziem szczęśliwi! I gdyby nas kiedy nawet los zbliżył, połączył, nasze przywiązanie nie będzie miłym Bogu; każdą chwilę zatruje wyobrażenie okropne niebłogosławieństwa! — Tak, rzucili sięrotę, dozwolili umiłowac tego, którego wskazywali jój od lat dziecinnych za męża; a teraz — teraz powiadają, że skłonność jest grzechem, małżeństwo świętokradztwem —

I upadła na kolana, gorąco zaczęła się modlić!

Powstała potem z suchemi oczyma, spokojniejszą twarzą i pocichu wyrzekła.

— Tak Bóg chciał, niech będzie Imie Jego błogosławione — Nie długo mi cierpieć, pójdę do ciebie matko, której nie znałam, ojcze, któregom nie widziała, pójdę do was!





IX.

Starosta Żmudzki w Wilnie.





IX.

Starosta Żmudzki w Wilnie.



DNIA czwartego Lutego, przyjechał nowy goniec do Wilna, oznajmujący Kasztel'anowi, o zbliżaniu się wojsk pod wodzą Jana Karola; które już w mili tylko od

miasta spoczywały i tegoż dnia wejść miały jeszcze. Rozeszła się o tém wieść prędko i poruszone nią tłumy ciekawych posunęły się na trakt Miednicki, którym Jan Karol miał przybyć. Radziwiłłowscy także posłali tam swoich, którzy wmięszawszy się w ciżbę ludu, mieli uważać liczbę i postawę żołnierza, ilość armat i smigownic, aby o nich donieść szczegółowie Xięciu Wojewodzie. Od południa już widać było niezwykły ruch w mieście; ciekawsi wdrapywali się na dachy kamienic, na mury i wieże, aby prędzej dójrzyć i oznajnić o przybywającém wojsku. Wieża Ratuszowa pełna była widzów na wszystkich galerjach, dzwonnice kościelne na każdym piętrze, najeżone głowami, zwróconemi na Miednicki gościniec. Ostre przedmieście zasiał lud liczny, w oczekiwaniu od rana krzątający się. Dzień był piękny zimowy, lekki przymrozek błyszczał na śniegach, słońce świeciło na czystém niebie i cisza była w powietrzu.

Z południa zaczerniał gościniec. Dojrzano ruszających się na nim wojsk, czarniejących na śniegu. Poruszyli się wszyscy; jedni śpie-

sz yli wprzód, aby prędz ej przychodzących zobaczyć, drudzy pięli się wyż ej, inni jeszcze biegli oznajmywać. Wszyscy powtarzali:

— Idą już ! idą już !

Ilufce tym czasem zbliżały się ku miastu, a nad niemi powiewały chorągwie rozwinięte, luezały bębny i pieskliwie odzywały się piszczalki. Coraz bliż ej, coraz bliż ej, nareście ulicą wsunął się piérwszy szyk w miasto i na widok jego lud ucichł, cały w oczach, cały w przyglądaniu się. Spokojnie, powolnie szła naprzód jazda. Na jój czele z kilką starszych jechał sam Jan Karol Starosta Żmudzki, na karym koniu po turecku osiodłanym i przybranym, w szubie axamitn ej karmazynow ej podbitej sobolami, ze złocistemi pęclicami; na głowie jego kolpak soboli z czaplém piórem i spinką bogatą. Z pod szuby wysuwał się koniec w jaszczur i srebro oprawn ej, wygiętej szabli. Na twarzy Jana Karola śladu poruszenia nie było, tylko mars potężny na czole, tylko warg a wierzchnia wzdęta i wąs najeżony. Jedną ręką od niechcenia wiódł dziarskiego konia, drugą się w bok podparł.

Za nim jechało kilku Rotmistrzów, dalej już szła jazda, człek w człeka doboray, na koniach silnych, średniego wzrostu. Nad głowami powiewały proporcezki i świeciły wierzcholki kopij. Jechali wolno w rzędach po pięciu, spokojnie, w milczeniu. Zaraz za pierwszym ufcem jazdy, ukazały się działa i śmigownice, w znacznej liczbie. Ciekawi naliczyli ich dwadzieścia i cztery. Za działami znówu jechała jazda, różnie opatrzona i zbrojua, lecz wszystka doborna.

— Nie widziałeś tu, jak w Radziwillowskim wojsku, karła podle olbrzyma, ociężałego Niemca, przy smukłym pacholiku Litwinie, wszyscy zdali się jednój krwi, rodu, siły i lat, tak zręcznie ich podzielono na ufce.

Ani podobna było najciekawszym dójść liczby wojsk wchodzących, tak długo ciągnęły się one i ciągnęły; a jeszcze widać było na gościńcu daleko nieprzerwany łańcuch wijący się po górach. Już się miało ku zmierzchowi, gdy jazda wszystka weszła w miasto, a piechota sunąć się zaczęła.— I znówu do ciemnej nocy szła piechota nieustannie.

Mieszczanie znużeni i nasyceni porozchodzili się po domach, ciekawszym cierpliwości nie stało, wreszcie noc nadełhodząca nie już widziéć nie dozwalała. W powieściach ludu Chodkiewiczowskie siły, stały się nieprzeliczone, niezmierne, powiększono je, czyniąc sobie otuchę, w trójnásób przynajmniej.

Gdy się to dzieje u wjazdu w miastó, Jan Karol wchodzi do swójć kamienicy, przygo-towanć już na jego przyjęcie, ze wszystkiém swém wojskiem. Nie zsiadając z konia, wprowadza działa jedne wewnątrz, zewnątrz zostawia drugie. Kilka z nich zostaje przed kamienicą samą, w ulicy, ze strażą przyzwoitą; resztą natychmiast rozporządza P. Barbier, któren przy szpadzie, w kapeluszu, kieruje wółos rozstawianiem ich po murach. Większe i mniejsze armaty i śmigownice zajmują przeznaczone miejsca i czarne paszcze, wystawują na wszystkie strony. Tuż przy nich już leżą kupami ładunki, stosami kule żelazne.

Nie zsiadł z konia Jan Karol póki wszystkich swych żołniérzy nie porozstawiał, póki wszystkimi nie rozporządził. Główny obóz

wpośrodku dziedzińców, które zalało żołdaktwo, tu rozstawione kotły, rozpalone ognie, tu rzędami stoją konie przy naprędcie przygotowanych żłobach. Tentent, szczęk, gwar, hałas, krzyki po całej kamienicy, rozlegały się bezustannie. Ci szli oglądać naznaczone im na murach miejsca, inni pomagali wciągać działa, które stać miały wyżej, tamci zdjemowali i rozwieszali zbroje. Wódz był wszędzie, tam spójrzał, tam coś wyrzekł, tam przejechał tylko w milczeniu, rozporządził wszystkiemi, pounstawił strażę, a zdawszy dopiero pilność na Pana Mikołaja Chamea Marszałka Dworu, zsiadł z konia i udał się do Kasztelana.

Oddawna już oczekiwano go tutaj. Wojewoda Mniszech, Starosta Borysowski, Kasztelan i kilka jeszcze osób stronnictwa Rzymsko-Katolickiego, zgromadzonych było w komnacie, której okna wychodziły w dziedzińce.—Ogromny ogień palił się w kominie, a na stole zastawiona była wieczera nietknięta.

Wszyscy się ruszyli witać Starostę Żmudzkiego.

— Witajcie nam, bohaterze, rzekł Mniszech, witajcie! jużście swoje ukończyli przecie, i hetmaństwo zdali, możecie więc spocząć z nami.

— Nareście, po całym dniu znoju, odpowiedział Jan Karol zrzucając z siebie ciężką szubę.— Nareście chwila folgi. Ale bo też naszego prowadzić niekarnego i swawolnego żołnierza, nie łatwa rzecz! No! daj Boże w dobry czas, wwiedliśmy i my swoich. Może już myśleli Panowie Radziwiłłowie, że się i na dziesiątek ludzi, przeciw ich tłumom, nie potrafimy zdobyć! Ale jakkolwiek naszych mało, wolę ja tę trochę, od ich tysięcy! Mój to żołnierz co go znam dobrze i nie zawiedzie mnie, kiedy trzeba będzie począć co.

To mówiąc Jan Karol witał się i podawał ręce.

— Wszystko więc z naszej strony gotowo na przyjęcie? spytał Rasztellan.

— Wszystko—rzekł Starosta Żmudzki, Xiężna tuż, umowa na stole, wojsko i działa dokoła—termin blizki. Czekamy Ichmościów Panów.

— A wiecie o przybyciu PP. Medjatorów od Króla Jego Mości przysłanych, spytał Alexander Chodkiewicz.

— Wczorajsza Wasza ceduła oznajmiła mi o tém. Ale panie bracie, do Radziwiłłów to, nie do nas posłowie, my wojny nie poczniemy sami.

— Zapewne, odpowiedział Kasztellan, a kiedy nas zaczepią, bronić się będziemy musieli.

— Jaka jest liczba wojsk Radziwiłłowskich? spytał Jan Karol, wiele oni tam mają zbieralniny? i co myślą poczynać?

— Różnie różni prawią—rzekł Alexander, ale najpewniejsza, co z dworu Xięcia Wojewody nam wiadomo, że mają blisko sześciu tysięcy ludzi. Nie licząc drobnych pocztów słacheckich i pojedynczych ludzi, nie licząc dworskiego żołnierza P. Wojewody, mają od trzech Ostrogskich po sześćset koni i siedemset hajduków, pięćdziesiąt koni Abramowicza, Naruszewicza sto i stu hajduków, Zamojskiego z Podola dwieście jazdy pod Piotrem Zboryńskim rotmistrzem, Xięcia Kurlandzkiego raj-

tarów dwieście, którzy dla postrachu w dziedzińcach Kardynalijskiej stoją, Starosty Mozyrskiego; ludzi ze dwie sotnie. Ot i wszystko— Byłoby czém zawojować kawał kraju.

— Cóż oni z tém wszystkiém czynić będą? rzekł Jan Karol uśmiechając się. Dość spojrzeć tu do kola, aby zmiarkować, że cisnąc ludzi jak śledzi trzeciej części tego tłumu, nie pomieszczą tu pod kamienicą moją, gdyby ją dokoła obsaczyć chcieli i leść na armatnie strzały, które ich pozmiatają jak muchy! W pole nas nie wywabia, szturm niepodobny, chyba wprzód nim poczną, poburzą dokoła domostwa, czemu trudno dać wiary.—Na cóż więc i do czego to wszystko? Dla pokazania chyba co mogą Radziwiłłowie?

— Takżeś to W Mość Panie Starosto, pewien swój kamienicy? rzekł Mniszech?—

— Nie potrzeba tu nawet wielkiej znajomości sztuki wojennej i znacznych wysiłen rozumu, odrzekł Jan Karol, aby umocnić, tak samém swoim położeniem osłonięte domostwo nasze. Przystęp do niego zewsząd zagrodzony drugimi zabudowaniami, ulice do-

koła ciasne — Najszérsza z przodu Zamkowa, w pół już zajęta stojącemi tam naszymi działami i strażą. Rędyż dostąpią? gdzie wojsko postawią i do kogo strzelać będą? Nasi ukryci za murami umyślnie wyprowadzonemi, razić ich mogą bez ustanku z góry, z ręcznej broni, hakownie i szmigownie, gdy sami zasłonieni, spokojnie siedzieć będą. Jesteśmy tu jednym słowem, z prosta mówiąc, jak u P. Boga za piccem. — Oddane listy Królewskie? spytał po chwili.

— Jeszcze nie, rzekł Kasztellan — czekano zapewne na Was, aby je wszystkim razem wręczyć.

— Senatorowie najmocniejszy mają przykaz od Króla J. Mości, nie dopuścić wojny i zwarecia się.

— Wątpię, aby rozkazy na konfederatach skutkować miały — odpowiedział Jan Karol. Pożyjemy, zobaczymy. A Xiężna?

— Byłem u niej wezora — rzekł Kasztellan, przestraszona, niespokojna, zwyczajnie kobiéta?

— Mogliście zbadać co myśli?

— Zawsze toż samo!

— Chciałaby, popędliwie ozwał Jan Karol — chciałaby się wyrzéc za niemi, to być nie może!

— Po ostatnich moich odwiedzinach inaczćj się spodziewam — z wolna odpowiedział Kasztellan. Byłem u nićj z wielbnyim Ojcem Rutskim, który jćj dostatecznie wyłożył, jakim jest grzechem i bezprawiem podobne małżeństwo.

— Dałaż się przekonać?

— Nie wątpię — Skłonność jednak myślę zawsze taż pozostała, tylko ją teraz pobożność tamować będzie i uśmierzać. To pewna, że gdyby się nawet wyrzekła za Xięciem Januszem, nie inaczćj chyba kładąc za warunek, dozwole nie i dyspensę z Rzymu.

Jan Karol umilkł nasróżywszy się; w tém dworzanin oznajmił — Xięcia Melehiora Gedrojcia, Marszałka Dorohostajskiego i Zawiszów.

Jan Karol ruszył ich spotkać na wschodach, Kasztellan we drzwiach komnaty — Ukazał się naprzód Biskup z łagodnym i u-

śmiejącym się obliczem, potem reszta Posłów — Po zwykłych przywitaniach i kilku słowach obojętnych, podane listy Królewskie do każdego z PP. Chodkiewiczów z osobna, przy których wręczeniu, odezwał się Biskup Żmudzki, w imieniu Króla i Kraju prosząc i zaklinając, aby wojny nie poczynano.

— Pierwszy i najokropniejszy byłby to przykład u nas, rzekł, a kto więc i wyrachuje jego skutki?

Cieżko swoje sumienie obarczy, kto pierwszy dla blahego sporu, broń na brata podniesie.

— W. X. Mość, przerwał prędko Jan Karol, nie do nas z tém odzywać się powinniście. My wojny nie rozpoczynamy, oplakujemy smutną konieczność, lecz mamyż się dać powiązać i nie bronić?

— Waszmość pierwsi dajcie z siebie przykład posłuszeństwa rozkazom J. R. Mości, nakłońcie się do zgody!

— Do zgody! zakrzyknął Starosta Żmudzki. Byłoby ostatniem poniżeniem dla nas, pierwszym wyciągać rękę!

— Byłoby to prawdziwie bohatérskiéj Chrześcijańskiéj cnoty dowodem, dodał Jan Zawisza.

— No, no! lecz trudnoż znowu wymagać aniélskich cnót po ludziach z ciała i kości! rzekł Dorohostajski, nie wątpię że P. Starosta na słusne warunki przystanie, ale —

— Możemy Wam przelożyć warunki nasze? spytał Gedrojc.

— Przyjmiemy je, rzekł Rasztełlan, jeśli pochodzą od Króla, z uszanowaniem, jeśli od Was, z wdzięcznością, lecz dozwólicie wprzód się nad niemi zastanowić, czyli nas nie upokorzą. Mniéj na pozór silni, podalibyśmy się wpodejrzeniu, żeśmy o sobie zwątpili, gdybyśmy zbytecznie do zgody spieszyli.

— Czegoż W. Mość Panie Rasztełlanie i Wy Panie Starosto, wymagacie?

— Jasna rzecz, bo sprawiedliwa i długich tłumaczeń nie wyciąga, prędko głos zabrał Jan Karol. Co do umowy o wydanie Xiężnój, niech ona sama rozwiąże, czy chce Xięcia Janusza lub nie. My jój silić, poddawać nie będziemy. Ma lata i wolę własną.

Lecz w razie gdyby nawet zezwoliła na to małżeństwo, ono jest przeciw prawom i do skutku przyjść bez osobnych dyspens nie może. Co do nas, widzicie sami do czego nas PP. Radziwiłłowie przywiedli — Do zadłużenia i pozostawiania imion ojczystych, dla ściągnięcia żołnierza, w liczbie znacznej, do kosztów niesłychanych, na tę wojnę. Wszystkie Sądy i Trybunał sam w ręku Wojewody, wszędzie nas osądzono jak chciano, nie wedle sprawiedliwości, lecz wedle potrzeby — liczą na nas przezyski, summy ogromne, chcą nam odbierać majątki, grożą bannicją — a potem jaka tu może być zgoda. Możemyż my ustąpić wszystkiego, dać się zniszczyć i słowa nie wyrzéc?

— Ani słowa, rzekł Zawisza, iż nie podobna po Was wymagać, zaparcia się samych siebie i swojego interessu, lecz nie macież warunków pośrednich któreby PP. Radziwiłłowie przyjąć mogli, i któreby WWMościów razem uspokoiły?

— Niech wprzód zobaczymy, rzekł Rasztel-

lan, czego po nas wymagają Xiążę Wojewoda z synem.

Dajcie przykład, przerwał Biskup, pokażcie im, iż pićrwsza u nas myśl o dobro Kraju i jego spokojność, niż o własną — powiedzcie swoje warunki?.

— Lecz dorzucił Jan Karol, nasze warunki nie mogą być, tylko odpowiedzią na ich wymagania. Sami zawsze toż powtarzamy, cośmy już powiedzieli. — O Xiężnój losie, ona sama rostrzygać będzie własną wolą. Z nami niech wszystkie sprawy zmażą i skasują, pretensję, umorzą, processa zniszczą, szkody nagrodzą — a spór na wspólnych przyjaciół zdadzą.

— Sądzę, odezwał się Dorohostajski, iż PP. Radziwillom, przy ugodzić o nic tyle, jak o upewnienie ręki Xiężnój Zofji dla X. Janusza, chodzić nie będzie. O to więc na-przód porozumiećby się wypadało.

Jeśli Xiężna zechce sama, a Papięż dozwoli, rzekł Kasztellan spoglądając na Jana Karola — wtedy. —

— Wtedy będzie mogła być wydana, dodał Starosta Żmudzki.

— Xiążę Wojewoda chciałby natychmiast spełnić obrzęd ślubny, w terminie umową zakreślonym, odezwał się znowu Dorohostajski — Jego prawa kościelne nie obowiązują.

— A prawo krajowe?

— Król J. Mość, uczyni wyjątek dla PP. Radziwillów i specjalne da pozwolenie. —

— Jeszcze go niéma?

Dorohostajski nie odpowiedział.

— A jeśliby się czekając dyspensy z Rzymu ślub przeciągnął, powolnie wyrzekł Biskup — wszak dozwolicie WWMość, aby Xiążę Janusz u Xiężnój Zofji bywał?

— Było o to osobne poselstwo — rzekł Kasztellan — i teraz jak wówczas powiadamy, odłożmy to do terminu i końca. Zobaczymy — Jeśli małżeństwo do skutku nie przyjdzie, do czego się to zdało? Szkodliwe raczej niż pożyteczne.

— Wojewoda, gdyby nawet eo bardzo wątpię, przerwał Dorohostajski, (acz nie taję, zem z nim mówił o tém nawiasem) gdyby na-

wet jakim szczególnym wypadkiem nakłonił się na odwleczenie ślubu, wymagać koniecznie będzie wolności odwiedzania Xiężnój dla syna; jak wprzód domagał się tego.

Chodkiewicze milezeli, spoglądając po sobie. Wojewoda Sandomirski przystąpił do Kasztellana i szeptał mu do ucha.

— Co szkodzi dozwolić tego, warując, że odwiedziny mają być albo w Waszój, albo w któregośkolwiek z Was przytomności?—Jeśli i tego nie chcecie nawet, bądźcie pewni, że innych warunków nie przyjmą, więc i ten upadnie. Dozwólcie—Z Waszój strony będzie to miało pozór największej powolności, gdy w rzeczy nic z tego nie będzie. A nuż ten warunek zachęci do zgody—

—Wojny się nie lękamy—odrzekł Kasztellan—

—Lecz żądacież jej? spytał Mniszech—pewnie nie—Wszystko co osobista Wasza godność pozwoli, uczynić możecie, aby jej uniknąć, tego Wam nikt za złe nie weźmie.

Gdy tak umawia Kasztellana, Wojewoda

Sandomirski, podobnemi prawie słowy i argumentami, przekonać się stara Jana Karola, sędziwy Biskup z Janem Zawiszą.

Rozstępują się potém i naradzają między sobą Posłowie, szepczą Kasztellan z Janem Karolem. —

Po chwili przyjęty warunek.

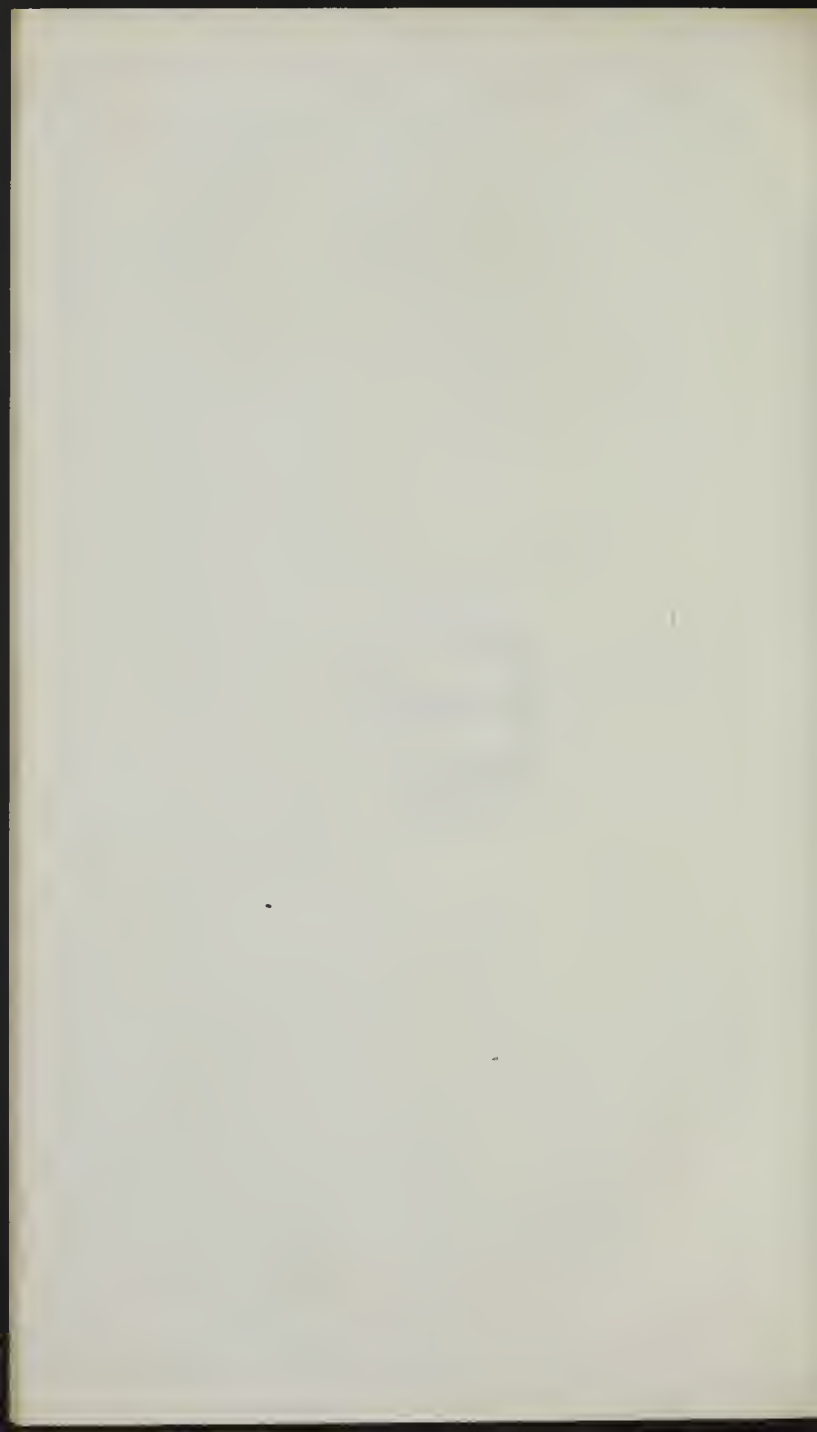
— Zgoda więc—odrzekł Starosta Żmudzki zgoda więc na odwiedzinę Xięcia Janusza, byleby w przytomności naszój i z naszą wiedzą. Spodziewam się że więcej powolności, po nas wymagać nie będziecie. Oto są nasze warunki ostateczne:

Wojewoda powróci nam wszystkie zapisy i obligi, urządowie je kassując i onych odstępując, processa umorzy, przezysków się zrzecze i dochodzić na nas nie będzie, sprawy o Kopyś popićrać przestanie, szkody i koszta których był przyczyną nagrodzi. Xięciu Januszowi wolny przystęp do Xiężnój w obecności naszój, a gdy dyspensę od Papięża w powinowactwie otrzymamy, gdy Xiężna dobrowolnie się zgodzi na to—wtedy wydaną zostanie za Xięcia Janusza.

Gdy Jan Karol mówił, Zawisza pisał podane warunki. Nic już więcj nie rzekli Posłowie i po chwili oddalili się. Był już późny wieczór, gdy się za niemi wrota Chodkiewiczowskićj kamienicy zawarły.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



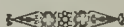


SPIS ROZDZIAŁÓW.

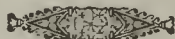




SPIS ROZDZIAŁÓW.



I. Więści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Re- ktora	11
II. Deputacja Magistratu	35
III. Tomiło	49
IV. Xiążę Janusz w Kamienicy Chodkiewi- czowskiej	65
V. Ostrabrama	85
VI. Ojcowie Jezuici	103
VII. Posłowie od Króla Jego Mości	123
VIII. Przygotowania wojenne. Xiężna . . .	149
IX. Starosta Żmudzki w Wilnie	167



Biblioteka Raczyńskich

JIK 789



JIK0789